

# Almanach Łącki

*Rócznie pod patronatem  
Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej  
wydawnictwo historyczno-kulturalno-społeczne*

*Nr 6  
Rok 2007*



## ***Kolegium Redakcyjne***

prof. Julian Dybiec - przewodniczący  
prof. Barbara Wagner - z-ca przewodniczącego  
prof. Bolesław Faron  
ks. prałat Józef Trzópek  
mgr Zbigniew Czepelak

## ***Redakcja***

Jadwiga Jastrzębska - sekretarz  
Paweł Szczodrowski - opracowanie graficzne  
Jan Dziedzina - kontakty ze szkołami  
Andrzej Urbaniec - kontakty ze stowarzyszeniami  
Janina Arendarczyk - finanse

***Almanach Łącki*** - półrocznik wydawany społecznym wysiłkiem autorów i redakcji.

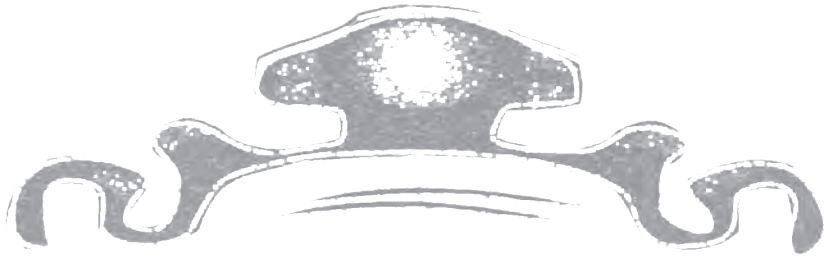
Druk i papier finansowany ze środków Starostwa Sądeckiego, prywatnych darczyńców, ze środków własnych TMZŁ i Urzędu Gminy w Łącku.

Egzemplarze archiwalne dostępne w: Bibliotece Narodowej w Warszawie, Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego, Miejskiej Bibliotece Publicznej im. J. Szujskiego w Nowym Sączu, Gminnej Bibliotece w Łącku (i jej filiach), Bibliotekach Szkół w Gminie Łącko, Towarzystwie Miłośników Ziemi Łąckiej, Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Krakowie, Centralnej Bibliotece PTTK oraz u autorów artykułów.

Projekt okładki: Paweł Szczodrowski  
Skład: Wydawnictwo "Koliber"  
Druk: "BAAD" Sp. z o.o.  
Nakład: 750 egzemplarzy

## ***Darczyńcy wspomagający wydanie nr 6 Almanachu Łąckiego***

1. Jan Dziedzina Wola Kosnowa
2. Kazimierz Potoniec Czarny Potok
3. Andrzej Gronuś Kraków
4. Marek Klag Kanada
5. Krzysztof Chwalibóg Warszawa
6. Antoni Baran Zabrzeż
7. Grażyna Pietrusiewicz Szczecin
8. Jan Golonka Kadcza
9. Jadwiga i Ryszard Jastrzębscy Łącko
10. Alicja Urban Łącko - (USA)
11. Sławomir Olszewski AS COM Łącko
12. Jolanta i Krzysztof Mikołajczyk Szczawa
13. Wiesław Staśto Kraków
14. Grażyna Mikołajczyk Łącko
15. Józefa Złotnik Łącko
16. Urszula Klag Karczma „u Kłaga” Łącko
17. Adam Faron Chicago (USA)
18. Stanisława i Marcei Franczyk Łącko
19. Andrzej Zbozień Łącko
20. Stanisława Turek Adelajda (Australia)
21. Józefa Klag Łącko
22. Józef Wiatr Wrocław
23. Maria Golanka Sosnowiec
24. Kazimiera Faron-Majkrzak Łącko
25. Ewa Sabatowska Berlin
26. Tomasz Tischner Stary Sącz



# Almanach Łącki

*Śródrocznik pod patronatem  
Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej  
wydawnictwo historyczno-kulturalno-społeczne*

*Nr 6  
Rok 2007*

# INFORMACJE

*Apteka REMEDIUM*  
tel. 018 444 65 45

*Apteka Faron Władysław*  
tel. 018 444 61 13

*Bank Spółdzielczy w Łącku*  
tel. 018 444 60 21

*„Big-But” bis*  
tel. 018 444 62 74

*Gminny Ośrodek Kultury*  
tel. 018 444 61 69

*Gminna Spółdzielnia „Sch”*  
tel. 018 444 60 14

*Komisariat Policji*  
tel. 018 444 60 07, 018 444 59 61

*NZOZ Prakt. Lek. Rodzinnego*  
*Krystyna Piwowar - Klag*  
tel. 018 444 63 04

*NZOZ Prakt. Lek. Rodzinnego*  
*Barbara Szczodrowska*  
tel. 018 444 66 66

*Ochotnicza Straż Pożarna*  
tel. 018 444 60 55

*Ośrodek Pomocy Społecznej*  
tel. 018 444 60 82

*Parafia Rzymsko-Katolicka*  
tel. 018 444 60 29

*Podstacja Pogotowia Ratunkowego*  
tel. 018 444 59 64

*Punkt Informacji Turystycznej*  
*„Restauracja pod Jabłonią”*  
tel. 018 444 53 75

*Towarzystwo Miłośników*  
*Ziemi Łąckiej*  
tel. 018 444 61 01

*Urząd Gminy Łącko*  
tel. 018 444 60 63

*Urząd Pocztowy*  
tel. 018 444 60 49

*Zespół Szkolno – Gimnazjalny*  
tel. 018 444 60 11, 018 444 61 17

*Zespół Szkół im. Św. Kingi*  
tel. 018 444 60 23, 018 444 68 94

*„Zyndram” Klub Sportowy*  
tel. 018 444 61 15

*Zakład Gospodarki Komunalnej*  
tel. 018 444 55 58

### DRODZY CZYTELNICY

Rok 2007 zaczął się smutnymi wiadomościami. Zmarł wieloletni sekretarz Rocznika Sądeckiego, Mieczysław Smoleń, człowiek niezwykle życzliwy i przychylny wszelkim poczynaniom redakcji „Almanachu Łąckiego”, zawsze mogliśmy liczyć na Jego pomoc i czerpać z olbrzymiej wiedzy o Sądecczyźnie. Służył radą i wsparciem, tak bardzo potrzebnym dla naszego, bardzo młodego wydawnictwa. Mamy nadzieję, że będziemy mogli korzystać z Jego olbrzymiego dorobku w naszym piśmie.

W styczniu br. pożegnaliśmy także p. Zofię Młynarczyk, osobę wielce zasłużoną dla szkolnictwa i całego regionu Gminy Łącko, była osobą niezwykle skromną, dla której praca z dziećmi i młodzieżą była najważniejszą misją życiową. Wychowała całe pokolenia, w szacunku dla wiedzy, pracy, innych ludzi.

O tych dwóch osobowościach możecie Państwo przeczytać w tym numerze Almanachu – Pro memoria.

Oprócz tych smutnych, mamy także dla Państwa i miłe wiadomości.

Profesor Bolesław Faron obchodzi jubileusz 70-lecia urodzin, z tej okazji bardzo ciekawy tekst Jana Pieszcachowicza, oraz samego Jubilata, o Marii Kownackiej. Profesora Barbara Wagner zapoczątkowała w tym numerze cykl edukacyjny artykułem pt. „Sądownictwo w Polsce”.

Tak jak zapowiadaliśmy w numerze 5 Almanachu, zaczynamy publikację wspomnień Stanisława Turka o jego pracy misyjnej na Wyspach Polinezji.

Znalazła się też w tym numerze, część II artykułu Marii Kurzeji Świątek „Strój ludowy z okolic Łącka i Jazowska w XIX i XX wieku”, (cz.I w numerze 1 Almanachu), oraz wiele innych ciekawych publikacji.

Cieszy nas niezmiernie fakt, że piszą i dzwonią do redakcji coraz to nowe osoby z zapytaniem o możliwość publikowania w naszym czasopiśmie.

Napisał do Redakcji p. Władysław Myjak, syn Wincentego, posła na Sejm Galicyjski w latach 1908 – 1918 ( artykuł Aliny Fitowej w nr 2 Almanachu), postanowiliśmy zamieścić przesłane materiały, w tym numerze.

Pozostałe cykle i zaczęte artykuły znajdują również swoje miejsce w tym numerze. Mamy nadzieję, że ten numer zadowoli gusta naszych czytelników, artykuły są ciekawe i o różnorodnej tematyce.

Przedłużamy do 30.06.2007 roku termin nadsyłania prac na konkurs, który ogłosiliśmy w numerze 5 Almanachu.

Redakcja informuje również, że reprint książeczki „Z rodzinnych stron Mikołaja Zyndrama wodza z pod Grunwaldu” Brody 1910, można będzie nabyć w Towarzystwie Miłośników Ziemi Łąckiej (od 12 maja br.), które jest wydawcą zarówno Almanachu, jak i owej książeczki.

*Redakcja dziękuje wszystkim darczyńcom, dzięki bowiem ich hojności, możemy wydawać kolejne numery. Dziękujemy za każdą złotówkę, szczególnie tym wszystkim, którzy chcą pozostać anonimowi.*

*Czekamy na Państwa listy, które z ogromną uwagą czytamy i staramy się wykorzystywać wszelkie uwagi, by Almanach był wydawnictwem ciekawym, mądrym i potrzebnym.*

**Jadwiga Jastrzębska – redaktor**





Bolesław Faron

Tytuł do garści refleksji o życiu mojego przyjaciela profesora Bolesława Faron jest parafrazą tytułu tomu wspomnień Stanisława Pigonia *Z Komborni w świat*, które znacząco wpisały się w topos znany w polskiej literaturze i kulturze: dzieje młodego człowieka urodzonego w warstwie społecznej uważanej ongiś za mniej eksponowaną, mniej ważną czy nawet gorszą w porównaniu np. z ziemiaństwem, inteligencją czy mieszczaństwem, w rodzinie chłopskiej, któremu udało się wybić. Przemiany społeczne poczynszy od XIX w. zaczęły kruszyć ów wzorzec, a walka chłopów o prawa i znaczenie pośród porażek i zwycięstw stała się tematem znanych i mniej znanych utworów literackich, utrzymanych w różnych klimatach – od sentymentalnego, niekiedy melodramatycznego, po

dramat. Twarda walka chłopaka ze wsi o awans obrosła też pewnymi schematami, przełamywanymi wszakże przez pisarzy bardziej ambitnych. Do klasycznych pozycji owego nurtu zaliczyć należy *Szyfowe prace* Żeromskiego (postać Radka) i *Matkę* Ignacego Maciejewskiego (Sewera), w której pisarz nakreślił przejmujący portret matki Władysława Orkana – Katarzyny Smaciarzowej, oraz utwory w powojennej twórczości nurtu wiejskiego (chłopskiego), np. w prozie Juliana Kawalca.

Nic dziwnego, że Bolesław Faron jako temat pracy magisterskiej wybrał problem naturalizmu w twórczości Orkana, a później, wielokrotnie wracał do tego pisarza, m.in. w książce *Władysław Orkan* (2004). Niejako naturalnym porządkiem rzeczy zajął się również innym pisarzem pochodzenia chłopskiego, który wspiął się na Parnas polskiej literatury – Stanisławem Piętakiem (w serii „Nauka dla wszystkich”, 1971), a także Kawalcem i Józefem Baranem. Dowodem na powinowactwo duchowe Faron i Pigonia, opierające się do pewnego stopnia o podobne doświadczenia jest napisana przez autora *Z Komborni w świat* „z potrzeby serca” monografia *Władysław Orkan. Twórcza i dzieło* oraz *Zarys nowszej literatury ludowej* (1946).

We wspomnieniu *Orkanowskie przesłanie (Powrót do korzeni, 2000)* pisze Faron, że z twórczością piewcy Gorców zetknął w 1947 r., gdy do rodzinnego Czarnego Potoka przyjechał na spotkanie poeta i gawędziarz Tadeusz Giewont-Szczecina, by opowiedzieć o losach górala z niezbyt oddalonej Poręby Wielkiej, który wrócił do swej wioski, zbudował tam dom i pisał o tej ziemi i jej mieszkańcach. Stał się Orkan w rodowodzie intelektualnym przyszłego profesora Faron postacią ważną pod każdym względem, zwłaszcza kulturowym i etycznym, choć w swoim opracowaniach bynajmniej go nie idealizuje wytykając artystyczne i myślowe porażki. Tak się zaczęła

na dobre kształtować postawę człowieka i badacza, co z w Czarnego Potoka doszedł do profesury, do fotela rektora Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie, wreszcie ministra oświaty w trudnym okresie lat osiemdziesiątych.

Rola Pigionia w powiązaniu z Orkanem okazała się nader ważna, może i kluczowa. Faron dostał po maturze „za dobre postępy w nauce i pracę społeczną” *Wybór pism* Orkana wydany w 1953 r. ze wstępem Jana Błońskiego – i z tym bagażem ruszył na studia do Krakowa. Jeszcze nie było jasne, czym się będzie zajmował, bo choć praca magisterska *Elementy naturalizmu w twórczości Władysława Orkana*, poprzedzona studiami źródłowymi w Bibliotece Jagiellońskiej i „w terenie” (z *Wybranymi pismami* w plecaku) była obiecująca, ale świeżo upieczony magister pracował jako wychowawca w internacie Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Nowej Hucie. Pewnego dnia powiadomiono go, że zaprasza go na rozmowę sam Pigoń, który był polonistyczną legendą, nadto autorem niedawno wydanej monografii „dumaca” z Poręby Wielkiej. „Nie znałem go osobiście. Zawsze imponował mi swoją wiedzą, erudycją i chłopskim uporem, który zaprowadził go z Komborni na katedrę uniwersytecką i do godności rektora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie” – pisze Faron. Pigoń dobrze ocenił pracę magisterską, zalecił druk jej części, a na podziękowania odpowiedział krótko: „To jest moja powinność. Jestem polskim profesorem”.

Kto przeczyta prace Farona, znajdzie tam niemało uwag o powinności badacza, zresztą bez moralizatorstwa. Patronują mu słowa Orkana ze *Wskazań dla synów Podhala* (1922): „Ze wsią swoją rodzinną żyj – i daj jej, co najlepsze. Wróc braciom, coś wiedzą zdobył. Nie przecinaj korzeni łączących cię z rodzinną ziemią, choćbyś na końcu świata się znalazł. (...) A przede wszystkim: miej charakter!” Faron cytując tę myśl zdradza jej powinowactwo Orkana ze swoją drogą życiową. Więc zanim przejdziemy do jego działalności naukowej, krytycznej i publicystycznej zatrzymajmy się u początków. Wierność przeszłości, tradycji, ziemi rodzinnej to przecież główny motyw w zbioru *Powrót do korzeni*, w którym profesorskie rygory ustępują miejsca pisarskiej weni. W powojennej literaturze dotyczącej wsi pojawiają się wątki związane ze „zdradą” rodowodu tych jej mieszkańców, którzy na skutek „awansu” do miasta tracą jakby busolę moralną, poddając się wyniszczającej presji standaryzacji miejskiej. Rozliczne związane z tym kompleksy, dramaty, a nawet tragedie znaleźć można m.in. w prozie Kawalca czy Wiesława Myśliwskiego. W twórczości Farona takich problemów nie ma, lub inaczej: istnieją w specyficzny sposób, raczej jako przedmioty nostalgii, niż gwałtownych konfliktów. Bolesław Faron doznał awansu społecznego na rzadko spotykaną skalę, ale swój związek z „korzeniami” zawsze zachowywał w sposób naturalny: utrzymując stały kontakt z rodziną, z dawnymi znajomymi, zainteresowany przemianami obyczajów i krajobrazu swojej ziemi nawet jeśli byłoby to przykre, gdy obserwuje się niszczenie relikwów przeszłości. Sentyment współistnieje tu ze swoistym pragmatyzmem: nasze czasy nieuchronnie podmywają dawne obyczaje, choć można uratować niejedno za pomocą wiernej pamięci, odbywania podróży w przeszłość, rewaloryzowania wartości, które nie tyle przebrzmiały, co zostały zaniechane w codziennej krzątaninie, w gorączkowym „mieć” spychającym na bok „być”.



*Powrót do korzeni* to nie tylko sympatyczne i wzruszające wspomnienia, to także manifestacja pewnej postawy humanistycznej, „ludzkiej, arcyłudzkiej” – by odwołać się do tytułu jednej z książek Fryderyka Nietschego. Przeznaczone początkowo do szuflady z myślą o wnukach – jak pisze autor – są bardzo osobiste, dają też materiał faktograficzny do ogólniejszego przemyślenia. Są „okruchami” (tytuł najnowszej książki Farona, naprowadzający znów na ślad Pigionia jako autora zbioru *Miłe życia drobiazgi*), ale – co niejednokrotnie podkreśla w swoich pracach profesor Akademii Pedagogicznej – z takich właśnie drobin życia i historii składają się dzieje zarówno społeczeństw, jednostek, jak i literatury, a także pamięć lokalnej społeczności. Drobiazgowość, by niczego nie pominąć, to cecha charakterystyczna mentalności badawczej i po prostu ludzkiej Bolesława Farona, wzmacniająca wiarygodność jego wywodów, choć niektórym recenzentom przywiązany do ogólnikowych syntez jakby przeszkadzała.

Czy dzisiejszy humanista powinien się wzruszać, jak czynili jego protoplaści? W przypadku pracy naukowej trzeba to umieć trzymać na wodzy i dążyć do obiektywizmu, co Faron realizował tak ściśle, że aż prof. Artur Hutnikiewicz nie szczędząc komplementów dla jego pracy habilitacyjnej *Stefan Kołaczkowski jako krytyk i historyk literatury* napisał: „Jedynie, co można zarzucić książce doc. Farona, to nadmierna powściągliwość jego w ocenach, w ujawnianiu własnej postawy i opinii.” Zastrzeżenie owo nie potwierdza się zwłaszcza w książce o Uniłowskim. W *Powrocie do korzeni* skrupulatnie gromadzone fakty łączą się tu harmonijnie z nutą liryczną: „Emocjonalnego stosunku do tej ziemi uczyłem się nie tylko w domu rodzinnym, od mojej matki, która jako dziecku opowiadała mi legendę o błogosławionej Kindze z klasztoru sióstr klarysek w Starym Sączu, o Zamczysku na Gródku w Czarnym



Bolesław Faron w 1943 r.

Potoku, o wujach, co zginęli podczas wielkiej wojny za cesarza Franciszka Józefa I, ale również od ludzi z nią związanych, od moich nauczycieli...”, Faron podkreśla dodając: „Patriotyzm w skali makro należy budować na patriotyzmie w skali mikro.” Nie jest to uwikłane w spory ideologiczne, jakie nieraz towarzyszyły w XX w. dyskusjom o kulturze ludowej czy literaturze ze wsią związaną – jest autentyczne.

Mała ojczyzna – Sądecczyzna Faron, posiada zarówno tradycje lokalne, jak cechy kulturowe i cywilizacyjne znacznie szersze, wchodzące w symbiozę z kulturą narodową. Można na to patrzeć z perspektywy globalnej, posługując się statystyką, danymi w gospodarce itp. – można też ująć tak, jak uczynił Bolesław Faron w opowieści *Historia zamknięta w starej skrzyni*, której bohaterem jest stuletni mebel, jego właścicielka – matka przyszłego profesora – a także szersza rodzina. Troskliwie opisane przedmioty w niej zamknięte, wzruszające drobiazgi pełnią funkcje świadectwa z innego czasu. Opisane nader pieczołowicie stają się miniświatem nieledwie magicznym, towarzyszącym konkretnym ludziom w ich starciu z historią i losem; nawet nieskładna polszczyzna kartek i listów świadczy o ich wzruszeniach, sposobie myślenia. Dlatego trzeba się zgodzić z podsumowaniem owego czasu: „Nie przeceniając walorów folklorystycznych, socjologicznych czy historycznych zawartości starej skrzyni, trzeba jednak uznać, że w tej trosce chłopów o utrwalenie w pamięci kolejnych generacji wiedzy o przeszłości ich rodów było wiele rozważań. (...) Troszczono się o przypominanie zdarzeń, które określały ich tożsamość, ich korzenie. Był to najprostszy sposób edukacji patriotycznej. Tak niejako pielęgnowano małą historię tych prostych ludzi.” Jest to myśl godna uwagi; jej ślady można dostrzec w życiu i twórczości Farona, podle niego, każdy człowiek ma niezbywalne prawo do posiadania własnej historii, każde, nawet drobne świadectwo pomaga zbudować szersze obrazy, koncepcje. Człowiek jest zawsze podmiotem, a nie przedmiotem dziejów, a przecież przedmiotowego traktowania nie brakowało w XX w., najsilniej w praktyce totalitaryzmów. Warto i trzeba pochylić się nad każdym istnieniem ludzkim – powiada autor *Powrotu do korzeni*.

Kreśląc ze wspomnień cudzych i własnych portrety ludzi wiejskich, także wiejskiej inteligencji (nauczyciele, lekarze) demonstruje Faron postawę zbliżoną do personalizmu, któremu poświęcił sporo uwagi w pracy o Kołaczkowskim. Ukazuje także postawę, którą ktoś nazwał „chłopskim humanizmem” godność, wierność tradycji, sobie samemu, wiejskiej gromadzie. O matce napisze: „Upór, samozaparcie, swoista zaciętość w dążeniu do celu cechowały jej zachowanie.” W szkicu *Wpisana w wiejski pejzaż* mowa o nauczycielce Wiśniewskiej, trochę podobnej do „Siłaczki” Żeromskiego, ale bez jej tragiczności, która przez kilkadziesiąt lat żyjąc nader skromnie przeprowadziła we wsi zmiany o charakterze cywilizacyjnym. Stanisław Wilkowicz, nauczyciel i sadownik zmienił Sądecczyznę w ogród. Dokonując wielkich rzeczy ludzie ci zachowywali skromność, traktując to, co robili jako naturalny obowiązek i powinność, np. Weronika służąca w oddziale partyzanckim, która po latach mówi: „– Nie jestem bohaterką. Byłam młodą dziewczyną. Polityka mnie nie interesowała. Walczyłam o wolną Polskę”.

Czego się od nich można nauczyć? Poważnego traktowania życia i bliźnich, życzliwości, odpowiedzialności i sumiennosci, godności i powściągliwej dumy z rodzinnej tradycji, wzajemnego szacunku, wierności podstawowym wartościom etycznym. To byli pierwsi nauczyciele małego Bolka Farona. A potem przyszli inni, nauczyciele już w sensie dosłownym, pedagogicy i uczeni. Zdumiewające,

jak ciepło o nich pisze (choć nie ukrywa wad, a Pigoniowi ma za złe, że pominął w swoich opracowaniach alkoholizm Orkana), jak skrupulatnie rejestruje wszystko, co im zawdzięcza, nikogo nie pomijając. Świadczy to o lojalności, oznacza też rekonstruowanie swojej przeszłości wpływającej na dalsze losy. Wyprawa rowerem na trasie 25 kilometrów, by zdać egzamin wstępny w II Liceum Ogólnokształcącym w Nowym Sączu, miała wymiar nieledwie symboliczny, oznaczała skok w inny świat. Trzeba było pokonać próg kulturowy. Bolesław Faron pisze o tym bez żenady, z pozycji człowieka, który swego dokonał: „Najwięcej kłopotów podczas egzaminu sprawiło mi dyktando. Roilo się w nim od słów, z którymi nie spotykałem się dotąd na co dzień. Był to opis jakiegoś dworu i rozłożonego wokół parku. Słowo >>klomb<< wprawiło mnie wówczas w zdumienie, nie znałem jego znaczenia. Poprawnie napisałem je chyba tylko dzięki fonetyce.” W *Informacji biograficznej dla Inspektoratu oświaty w Nowym Sączu* (1970, maszynopis) wspomina:

„W 8 klasie miałem nieco kłopotu z ocenami z języka polskiego. Niski poziom tego przedmiotu w wiejskiej szkole, łączone klasy, brak podstawowej lektury – zdecydowały, że przekroczenie progu między szkołą podstawową a średnią nastęrczało mi wiele kłopotów. Trzeba do tego dodać jeszcze pewne zaległości gwarowe w moim języku, które należało szybko wykorzystać. Postanowiłem rychło sprostać zadaniom i dogonić kolegów z miasta. Pomnę dziś, że spędzałem wówczas wiele nocy nad książką i zeszytem. Na szczęście kierownik Internatu przy ul. Długosza pozwalał od czasu do czasu pozostać na noc w tzw. >>uczelnii<< czyli lektorium. W klasie 9 otrzymałem z polskiego bardzo dobrze”.

Wspominając nauczycieli akcentuje Faron te ich cechy, które zapamiętał na całe życie, np. Zofię Oleksównę: „Kierowała się wyniesioną sprzed wojny rzetelną wiedzą, chłopskim rozsądkiem i akceptowanymi przez siebie zasadami moralnymi, wśród których za najważniejsze uważała uczciwość, prawość i solidność.” Wiele miejsca wdzięczny uczeń poświęcił magistrowi Antoniemu Sitkowi, poruszając i moje wspomnienia, bo w 1962 r. zostałem skierowany wraz z dwoma kolegami do liceum nowosądeckiego na praktykę pedagogiczną właśnie pod jego opieką. Zapamiętałem polonistę o szerokich horyzontach, posługującego się niekonwencjonalnymi metodami, działacza społecznego z gatunku tych, o jakich dziś trudno. Nawet fakt, że w trakcie mojej praktyki zadawał uczniom wiele wypracowań, które my potem sprawdzaliśmy w pocie czoła uznaję dziś za element wychowawczy dla przyszłego redaktora, uczącego się „adiustować”...

To, czego nauczono Bolesława Farona w Nowym Sączu najwyraźniej miało trwałe podstawy, skoro bez trudu dał sobie radę jako student polonistyki w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Zetknął się nie tylko z profesurą swej uczelni. O Pigoni już mówiliśmy, ale równie ważne było pozyskanie prof. Kazimierza Wyki. Zachowała się jego opinia popierająca projekt mianowania Farona docentem, o którego dorobku Wyka pisał m.in.: „...rozwinął się w ciągu minionego dziesięciolecia, licząc od roku 1960, i jest to już dorobek poważny i wielokierunkowy. (...) Jest więc dr Bolesław Faron wybitnym i samodzielnym znawcą polskiego realizmu powieściowego, a także tych

krytyków, którzy najwięcej przyczynili się w owej epoce dla rozwoju i znajomości owego realizmu.” I dodawał: „Na szczególną uwagę zasługuje z kolei skupiony na przestrzeni ostatnich lat, zespół prac interpretacyjnych oraz materiałowych dotyczących dorobku jednego z najzdolniejszych i przedwcześnie zmarłych prozaików polskich: Zbigniew Uniłowski (1909–1937). (...) Na warsztacie badawczym dra Bolesława Faron wyrasta bogato udokumentowana i oparta o trafną znajomość dziesięciolecia 1930–1939 monografia tego znakomitego prozaika.”

Należy wszakże podkreślić, że kształtowanie młodego historyka literatury odbywało się przede wszystkim w jego macierzystej uczelni, u profesorów, o których pisze w książce *Spotkania i powroty. Sylwetki i szkice o literaturze* (1995), takich jak Wincenty Danek (zasłużony rektor uczelni), Stanisław Jodłowski, Władysław Szyszowski, Mieczysława Romankówna („rzetelność i trwałość” – napisze o niej Faron w tytule artykułu), wreszcie Jan Nowakowski, którego opinie naukowe o pracy badawczej przybysza z Nowosądecczyny odegrały znaczącą rolę w jego karierze naukowej. Chwaląc Dankę, akcentował dwubiegunowość jego zainteresowań między pracą badacza i pedagoga (w 1985 r. opublikował Faron pokazną książkę *Oświatowe przekroje i zbliżenia*, wcześniej inne rozprawy na ten temat).

Można zauważyć coś w rodzaju dialogu między mistrzem i uczniem, gdy czyta się recenzję pracy doktorskiej Bolesława Faron pła Wincentego Dankę, a później wspomnienie tego pierwszego o profesorsze. Danek: „Odnacza się ona ostrożnością i chwalebny spokojem w wypowiedaniu ocen wartościujących, unika definitywnych, przesadzających ustaleń i niedozwolonych chwytów krytycznych, ale nie ma w niej równocześnie asekuranctwa i lęku przed angażującym się sądem, przed polemicznym starciem z opiniami krytycznymi.” Faron: „Przytoczone fakty potwierdzają wyraźnie dużą rzetelność badawczą Wincentego Dankę, rozległość jego horyzontów myślowych, erudycję i umiejętność popularyzacji. Znamionuje przy tym jego prace komunikatywny styl narracji naukowej. Nawet wówczas, gdy rozważał najbardziej skomplikowane problemy, zawsze dbał o to, by ująć je w sposób przystępny językowo, by sądy te były – bez pomocy słownika wyrazów obcych – komunikatywne i dla profesora uniwersytetu, i dla nauczyciela szkoły podstawowej. Razi go swoisty >>żargon<< naukowy, widoczny niejednokrotnie w rozprawach młodej generacji historyków i teoretyków literatury. Z drugiej zaś strony, decydując się na ujęcie popularnonaukowe, zawsze troszczył się, by masowemu czytelnikowi udostępnić wiedzę autentyczną.” Z owych wypowiedzi dałoby się zestawić prywatny kodeks, jakiemu stara się hołdować Bolesław Faron. Linia jego etosu badawczego prowadzi z Czarnego Potoku do gmachu uczelni oraz licznych pełnionych funkcji, a przede wszystkim do tekstów przez niego pisanych.

Sukcesem nie tylko naukowym okazała się książka *Zbigniew Uniłowski* (1969), która przyniosła Faronowi członkostwo Związku Literatów Polskich. Byłem wtedy prezesem krakowskiego Oddziału ZLP i na posiedzeniu Zarządu Głównego referowałem kandydaturę. Prezydujący Jarosław Iwaszkiewicz, jak zawsze trzymając w dłoni nieodstępną laskę krzyczał do Jerzego Putramenta, żeby się uspokoił (lubił gadać głośno i nie zawsze wtedy, kiedy mu udzielano głosu). Wyraził natychmiast zgodę;

osoby Bolesława Faroną nie trzeba mu było polecać, bo książkę o „Uniłowszczeniu” już przeczytał i uznał ją za dobrze napisaną i kompetentną, czemu dał zresztą wyraz w recenzji zamieszczonej w „Życiu Warszawy”.

Faron już od dłuższego czasu penetrował literaturę międzywojnia, przeprowadził gruntowne studia materiałowe, a teraz przywołał tamten czas w pełnym wymiarze, poczynając od ważnych zdarzeń w literaturze, a skończywszy na atmosferze życia literackiego (oficjalnego i nieoficjalnego) przedwojennej Warszawy. A przecież Uniłowski nie był łatwym tematem. Na fali przypominania okresu międzywojennego po październiku 1956 r. wskrzeszono jego legendę. Sam dołożyłem do tego trzy grosze publikując z okazji 25-lecia śmierci pisarza w 1962 r. w „Tygodniku Powszechnym” artykuł pt. *Niewolnicy pozorów*, zresztą jeden z pierwszych, jakie napisałem; byłem jeszcze studentem.

Prof. Artur Hutnikiewicz sformułował w opinii o dorobku naukowym Faroną interesujące uwagi: „Mimo przystępnego języka i opublikowania tej książki w wydawnictwie, którego zadaniem jest upowszechnianie wiedzy („Wiedza Powszechna”), wbrew pokutującym jeszcze tu i ówdzie w tzw. środowisku naukowym zupełnie nieuzasadnionym i anachronicznym zastrzeżeniom wobec działalności popularyzatorskiej, książka doc. Faroną o Uniłowskim jest w istocie w pełni wartościową monografią naukową pisarza, przynoszącą jego sugestywny portret literacki oraz wszechstronną analizę jego twórczości w oparciu o samodzielne badania i przemyślenia autora, analizę sformułowaną w języku współczesnej nauki o literaturze i w oparciu o świadomie przyjęte i konsekwentnie stosowane założenia metodologiczne.” Dodajmy, że były one kombinacją różnych podejść badawczych dostosowanych do potrzeb podjętej pracy. Faron nigdy zresztą nie ulegał doktrynalnej metodologii, co na dobre wyszło jego tekstom.

Docenili to recenzenci jego pracy habilitacyjnej *Stefan Kołaczkowski jako krytyk i historyk literatury* (1976), podkreślając trudności opracowania owej twórczości. Nie ulegając (jak zwykle zresztą) tendencji niektórych badaczy do gloryfikowania przedmiotu badań, stara się Faron nakreślić portret oddający sprawiedliwość nietuzinkowej osobowości, nie ukrywając wszakże mankamentów: „Owo związanie się z filozofią niemiecką odbiło się również na pismach krytyka. Od niemieckich autorów przejął Kołaczkowski mętne nieraz sformułowania i zawikłane konstrukcje myślowe. Toteż styl niektórych jego wypowiedzi odbiega od postulowanej przez niego prostoty jest dość zawiły, tasiemcowe zdania i mało precyzyjne określenia utrudniają percepcję.”

O inspirującej roli książki o Kołaczkowskim świadczy choćby wielostronicowa recenzja prof. Tomasza Weissa, która zamieniła się w swoisty esej, gdzie czytamy m.in.: „Wielki Improwizator był nim (wykładowcą) chyba wobec swoich uczniów nie poprzez to, co pisał. Sądzę, że Kołaczkowski pozostawił po sobie takie wspomnienia przede wszystkim ze względu na kontakty osobiste ze swoją czeladką, kiedy to w bezpośrednim obcowaniu ujawniały się na pewno te cechy jego umysłowości, które nie znalazły wyrazu w dorobku piśmienniczym. Było więc w Kołaczkowskim coś,

czego się nie da po prostu odczytać poprzez studiowanie i analizowanie jego pism, coś niepowtarzalnego, co mogli obserwować tylko ci, którzy z nim bezpośrednio obcowali.” Mimo to podkreślał prof. Hutnikiewicz – praca Farena „Odznacza się przede wszystkim niezwykłą prostotą, jasną, ale jednocześnie celową i niezbędną konstrukcją. Unikając wszystkich niebezpieczeństw biografizmu autor nie popada przecież w skrajność przeciwną, zdając sobie sprawę, że niepodobna oddzielić dzieła od osoby, zwłaszcza w przypadku indywidualności takiej, jaką był Kołaczkowski...”

Nie można tu omówić całokształtu twórczości Bolesława Farena, zarejestrowanej w bibliografii, zwłaszcza że zainteresowania badacza były różnorodne, niekiedy schodząc z naukowego traktu ku publicystyce, reportażowi z podróży (np. do Sztokholmu, gdzie zgłębiał tajniki przyznawania Nagrody Nobla). Chciałbym zwrócić uwagę jeszcze na dwie pozycje. Pierwsza to zbiór *Prozaicy dwudziestolecia międzywojennego. Sylwetki* (1972) pod naukową redakcją Farena, który poprzedził także książkę szkicem syntetyzującym prozatorski dorobek owego okresu. To bardzo pożyteczne opracowanie spełniło ważną rolę edukacyjną. Redaktor tomu zechciał w nim zamieścić dwa moje szkice – o Tadeuszu Brezie i Andrzeju Strugu. Szczególny charakter ma książka *Jama Michalika. Przewodnik literacki* (1995, 1997, 2002), owoc swoistej fascynacji kawiarnią–instytucją uwzględniający wszystkie aspekty i szczegóły jej funkcjonowania w powiązaniu z ówczesną obyczajowością, zjawiskami artystycznymi i kulturalnymi. Jak pisano ongiś w krakowskim „Przekroju”: czyta się! Profesor Bolesław Faron kończy 70 lat. Jego biogram mówi o wielkiej ilości pełnionych funkcji i podejmowaniu nieraz bardzo odpowiedzialnych zadań. Wraz z bibliografią obrazuje życie wypełnione po brzegi owocną pracą, a przecież nie były to same przyjemności, lecz także troski i kłopoty. Cóż jeszcze można dodać? *Ad multos annos*, Panie Profesorze!



## Jak rodziła się przyjaźń? (O Marii Kownackiej wspomnienie)

Autorkę *Plastusiowego pamiętnika* poznałem przypadkowo latem 1956 roku w mojej rodzinnej wsi, w Czarnym Potoku na Sądecczyźnie. Miejscowość oddalona o cztery kilometry od Łącka, wyróżniająca się pięknymi sadami oraz regionalnym wyrobem znanym w całej Polsce z charakterystycznej etykiety: „Daje krzepę, kraszi lica nasza łącka śliwowica”. Maria Kownacka odwiedziła wówczas tutaj Marię i Jana Rostockich, z którymi nieco wcześniej właśnie



Autor z Marią Kownacką nad rzeką Kamienicą, koło Zabrzeży. Maj 1971 r.

w Łącku się spotkała, gdzie zbierała materiały do artykułu o Stanisławie Wilkowiczu, wieloletnim tamtejszym nauczycielu i dyrektorze szkoły, pionierze sadownictwa nad Dunajcem. Jan Rostocki zaś, wówczas nauczyciel języka polskiego w Liceum Ogólnokształcącym w Szydłowcu koło Radomia, w latach międzywojennych był w łąckim gimnazjum uczniem ambitnego nauczyciela. W dorobku pisarki znajduje się parę tekstów, zrodzonych w wyniku tych poszukiwań, m.in.: *Uwierzymy w człowieka* („Dom i Szkoła” 1957, nr (1–2), *Błogosławione „pestecki”* („Gospodyni Wiejska” 1957, nr 20), *Złote jabłka ojca Wirgiliusza* („Płomyk” 1958, nr 6), *Jak to było w Łącku* („Płomyk” 1958, nr 3), oraz *O bidzie i złotych jabłkach* (Sztuka wydana w Bibliotece Teatrów Ludowych w Warszawie w 1960 roku). Większego szkicu o Wilkowiczu Kownacka nigdy nie napisała. Do tego zadania zobowiązała mnie przed śmiercią. Wykonałem je. W książce *Powrót do korzeni* (2000, s.132) zamieściłem tam o nim tekst pt. *Zanim w Łącku zakwitły jabłonie*.

W moich rodzinnych okolicach znalazła się pisarka w związku z pracą nad powieścią *Rogaś z Doliny Roztoki*, którą wykonywała w Rytrze koło Starego Sącza, stąd zaś do Łącka, Zabrzeży i Czarnego Potoka droga niezbyt odległa. Przypomnę, że znana wielu pokoleniom wzruszająca opowieść oparta jest na faktach autentycznych. To sarnie maleństwo rzeczywiście było znalezione w lesie przez drwala Jana Pogwizda z Rytra i wychowywane przez gajowego Piotra Kluskę (w rzeczywistości przez nadleśniczego Konstantego Kowalczyka). Do dzisiaj żyjący jeszcze świadkowie

tamtych zdarzeń, wspominają o różnicach między autentykiem a opowieścią literacką (m.in. że Rogas w rzeczywistości nazywał się Jacek.)

Z czasu pobytu pisarki w Rytrze wywodzi się też geneza jej kolejnego utworu prozą a mianowicie *Szkoły nad obłokami*. W „Płomyku” (1959, nr 17) wspomina pisarka:

„Posłuchajcie. Kiedy w Rytrze pisałam *Rogasia z Dolina Rostoki*, doszło do moich uszu, że gdzieś wysoko, w paśmie Beskidu Sądeckiego, bez żadnej komunikacji kołowej, jest szkoła, bodajże najwyższej położona w Polsce, bo na 1027 m. nad poziomem morza.”

W archiwum autorki znajduje się album pt. *Niemcowa na zdjęciach*, wykonany latem 1956 roku, przedstawiający autentyczne postacie i krajobraz tej okolicy, są też tam notatki pisarki z wycieczki na Niemcową z 12 lipca tego roku, a w nich m.in. spisane piosenki ludowe, charakterystyka topografii terenu, zapiski etnograficzne itp. Materiał to dzisiaj bezcenny dla poznania warsztatu pisarskiego Marii Kownackiej.

Moje kontakty z pisarką były wówczas nieliczne. Parę spotkań i rozmów u państwa Rostockich, którzy mieszkali u brata profesora, tuż obok mojego rodzinnego domu. Jako student drugiego roku polonistyki krakowskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, który miał już za sobą wykład z literatury dziecięcej i młodzieżowej, byłem szczęśliwy, że mogę obcować z żywym pisarzem, z autorką, której *Plastusiowy pamiętnik* był moją lekturą w dzieciństwie.

W post scriptum do listu skierowanego do mnie 13 stycznia 1964 roku Kownacka odnotowuje pobyt w Czarnym Potoku, aczkolwiek myli mnie z jakimś młodszym o parę lat rodakiem: „PP Rostockich, Czarny Potok – Pana piękną Ojczyznę wspominam najczulej. Suśnie dymią, to właśnie Czarny Potok w *Głosie przyrody*... Z Faronami z Zabrzeży koresponduję... Mam piękne zdjęcie – chłopcy z drewnianym rowerem – może jeden z nich to Pan?!” A w liście z 22 stycznia: „W Czarnym Potoku byłam przyjmowana przez bardzo miłych gospodarzy (syn dziennikarz, w każdym razie korespondent czasopism krakowskich). Nie pamiętam nazwiska, myślę, że to Pana krewni.” Rzeczywiście, wspomniani gospodarze to mój wujek Władysław i ciotka Ludwika Pulitowie, a „dziennikarz” to Franciszek Pulit, ich syn, późniejszy absolwent geografii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie, parający się wówczas korespondencją do krakowskich gazet. Do wspomnień z tamtych lat powróci też później. W korespondencji z 6 lutego 1979 doniosła: „Serdecznie mnie cieszy każdy Pana sukces i myślę sobie >>jak wysoka jest ta drabina – po której się wspina – chłopak z Czarnego Potoka!!!<<, którego tak dobrze pamiętam, kiedy przy >>ogarku<< oceniał, jako pierwszy, mojego *Rogasia* – (i ocenił pozytywnie!), tzn. bezbłędnie. (właśnie wczoraj dostałam tłumaczenie na węgierski i na białoruski)”?

## 2.

Od tamtego czasu upłynęło parę lat. Ukończyłem studia, rozpocząłem pracę w internacie Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Nowej Hucie, nauczycielską w II Liceum im. Króla Jana III Sobieskiego w Krakowie i dydaktyczną jako asystent w rodzimej uczelni. Poszukując tematów do pracy naukowej przypomniałem sobie



o krótkim przed laty spotkaniu z Maria Kownacką. Odszukałem jej adres przy ul. Słowackiego 5/13 m. 74 na warszawskim Żoliborzu, napisałem list i tak nawiązała się między nami korespondencja, która trwała do końca życia pisarki. Zachowało się ok. dwustu pięćdziesięciu listów i kartek pocztowych, adresowanych do mnie z różnych regionów Polski, głównie jednak z Warszawy i Łomianek, gdzie Kownacka miała swój letni domek. Na moją korespondencję odpowiedziała cytowanym już listem z 13 stycznia 1964 roku, w którym poza paru informacjami bibliograficznymi i krótką notą o kierunkach jej twórczości – narzekała na zasypujących ją listami studentów przygotowujących prace dyplomowe. Trochę mnie to ubodło. Odpowiedziałem więc, że nie chciałbym znaleźć się w gronie pasożytów, którzy traktują autorkę jak poradnię bibliograficzną. Na to otrzymałem odpowiedź, rozpoczynającą się od słów: „Co Pan >>nawymyślał” – Drogi Panie Pasożycie”?!... Aż mnie zatkało!... Przecież nie Asystenta Katedry Hist[orii] Literatury Pol[skiej] WSP miałam na myśli, pisząc o tych nieszczęsnych, bezradnych biedakach, okazuje się, że są to prawie wyłącznie czyni nauczyciele – >>dokształceni<< w ten sposób. W wielu wypadkach kształcą się zaocznie.”

Po tym małym zgrzycie wszystko wróciło do normy. Listy pisarki stawały się coraz bardziej ciepłe, serdeczne, intensyfikowały się też między nami kontakty bezpośrednie. W wolnych chwilach wyjeżdżałem do Warszawy na spotkania z pisarką. W domowym, uporządkowanym archiwum w niewielkim aneksie w jej garsonierze zapoznawałem się z materiałami dotyczącymi genezy poszczególnych utworów, z dokumentacją z licznych wyjazdów autorki oraz z bogatą korespondencją. Kownacka raz po raz podrzucała mi nowe teczki, a Natalia Holnicka, jej wieloletnia opiekunka i przyjaciółka raczyła herbatą i osobiście pieczonym ciastem. Jest to postać godna osobnego opisu. Związana z pisarką, jak się to mówi na dobre i na złe, spędziła z nią wiele lat. Nieraz obserwowałem, z jaką troską, serdecznością zajmuje się – mimo pozornej szorstkości – schorowana autorką.

Podczas jednej z pogawędek z Maria Kownacką zauważyłem w koszu na śmieci tuż przy jej biurku plik maszynopisów, ilustrowanych ołówkiem i kolorowymi kredkami przez dzieci. Cóż to pani wyrzuca? – Wskazałem na związaną sznurkiem paczuszkę. Kownacka wzięła ją do ręki, założyła okulary i wykrzyknęła – Przecież to jest „Jawnutlka”. Dzięki Bogu, że pan zwrócił mi na nią uwagę.

Okazało się, że tego dnia fachowa siła, bibliotekarka porządkowała archiwum pisarki. Doszła widocznie do wniosku, że te pomięte, lekko zniszczone kartki maszynopisu z 1944 roku nie przedstawiają już żadnej wartości. Przypadek więc zdarzył, że został uratowany jedyny – jak się zdaje – komplet wydawanego podczas powstania warszawskiego na Żoliborzu pisma dla dzieci, redagowanego m.in. przez Marię Kownacką. Oryginały pozostały w dokumentach pisarki, ja dysponuję fotokopiami, napisałem też na ten temat artykuł w fachowym piśmie prasoznawczym.

Maria Kownacka, mimo podeszłego wieku, wiele podróżowała (w momencie naszego poznania miała 69 lat, tyle co piszący te słowa dzisiaj). W kierowanych do mnie listach raz po raz padają nazwy różnych miejscowości, do których zamierza się

udać, bądź z których dopiero co wróciła. Po nabyciu przeze mnie pierwszego auta w 1969 roku (był to wartburg, produkcji NRD) odbyłem z pisarką kilka wspólnych podróży. Najdłuższą, bo kilkudniową w Bieszczady, do Lutowisk, w których pracował jako dyrektor szkoły Kazimierz Garstka, piszący z Kownacką książkę *Na tropach węża Eskulapa*. Pamiętam starą ceglaną szkołę, w której mieszkali Garstkowie, pełen kwiatów i warzyw ogródek. Pisarkę interesowała przyroda, była wielką orędowniczką wręcz bojowniczką o jej ochronę. Na wszelkie nieprawidłowości reagowała, pisała listy do redakcji czasopism, interweniowała u miejscowych władz. Jeszcze w ostatnim przed śmiercią skierowanym do mnie liście pisała: „Podejmuje ostatnią walkę (b. ze mną źle...) z „Nowymi Książkami” w sprawie bezczelnej napaści jakiejś rozwydrzonej histeryczki Wiesławy Uczkiewicz, która z numerze 10, str. 93, zamieściła błazeński paszkwil na prof. Witolda Koehlera – jedynego w kraju człowieka, który zna do głębi sprawę ochrony przyrody. (Znany i szanowany na całym świecie). Mam dokumenty [...] Ochrona przyrody w szkołach to jedno z najważniejszych zagadnień”. Ta pasja Kownackiej widoczna była na każdym kroku, także podczas owej bieszczadzkiej wyprawy. Wędrowaliśmy po wymarłych wsiach, które sygnalizowały wśród zanosili stare owocowe sady, ruiny spalonych domów i kikuty kominów. Kownacką interesowała każda roślina, jej polska i łacińska nazwa. Zrywała te, których nie знаła, by skonsultować z biologiem, Kazimierzem Garstką, zamieszkałym tutaj od kilkunastu lat, znającym okolicę jak własną kieszeń. Kownacka rozróżniała, pamiętam, na polach czy w tamtejszych lasach głosy ptaków, umiała je nazwać tylko na podstawie ich śpiewu. W moim domowym archiwum zachowało się z tych czasów zdjęcie, na nim na tle jakiejś leśnej ścieżki, pisarka z nieodłącznym kosturem i ja (wówczas trzydziestoletni młodzieniec) trzymający ją za rękę. Był to okres wysypu grzybów. Na dłuższe leśne wyprawy się nie decydowała. Toteż pozostawało to moją domeną wraz z Januszem Szymańskim inżynierem planowania zieleni z Wrocławia (bodajże jej krewnym) i Kazimierzem Garstką, który kijem wskazywał nam, pod jakim drzewem trzeba zebrać grzyba. Najwięcej było rydzów, z których żona dyrektora czyniła przetwory, które potem w bagażniku wartburga powędrowały na Żoliborz. Zachodziliśmy do położonej w centrum Lutowisk drewnianej cerkwi, interesowała się architekturą, zachwycał je ikonostas. Dzisiaj cerkwi w Lutowiskach już nie ma, młodzież uczy się w nowej szkole, a Stanisław Garstka, którego przed paru laty odwiedziłem, na nauczycielskiej emeryturze mieszka w wybudowanym przez siebie okazałym domu.

Tych wspólnych wojaży było więcej. Również w moje rodzinne strony. Kownacka przyjaźniła się z dyrektorem szkoły podstawowej w Zabrzeży koło Łącka nad Dunajem. Podczas jednego z pobytu u nas w Krakowie pisarka wyraziła chęć odwiedzenia dyrektora Jana Bucyka. Udaliśmy się więc moim środkiem lokomocji najpierw tzw. „zakopianką”, później od Lubnia przez Mszanę Dolną, Lubomierz na Szczawę i dalej do wsi Kamienica, skąd do Zabrzeży było ok. dwóch kilometrów. Kownacką zainteresowała płynąca z Gorców rzeka Kamienica. Zatrzymaliśmy się. Pamiętam, z jaką pieczołowitością brała do ręki każdy kamień „otoczak” z piaskowca, z jaką radością patrzyła na czystą górską wodę, którą można było wówczas pić, jak ją denerwował każdy wyrzucany zbędny sprzęt

z wiejskiej chałupy, (wiadro czy krzesło). Z dyrektorem szkoły podstawowej z Zabrzeży łączyła Kownacką pasja przyrodnicza. Był on bowiem znakomitym znawcą tutejszej fauny i flory. Podczas tego spotkania prezentował nam wykonane przez siebie slajdy, na których uwieczniał zwierzęta, ptaki, drzewa okolic Łącka. Pisarka z wypiekami na twarzy oglądała te fotografie i bezbłędnie określała nazwy motyla, paproci, ptaka, drzewa, czy węża utrwalonego na fotografii.

Od czasu do czasu w tych latach wyjeżdżała pisarka do Rabki, gdzie zatrzymywała się u dyrektorki przedszkola Ziuty (Józefy) Krogulskiej. Odwoziłem ją nieraz z Krakowa, często też odwiedzałem. Kownacka chętnie tam przebywała, było to bowiem miasto dzieci ze względu na słynne wówczas sanatoria dla małych pacjentów. Pobyt zaś w przedszkolu dawał jej możliwość konfrontowania swych pomysłów literackich (np. teatru supelka) z rzeczywistością wychowawczą, pisarka poprzez bezpośredni kontakt z małymi czytelnikami czy słuchaczami zgłębiała ich psychikę, podnosiła swą wiedzę na ten temat. Krogulska konsultowała teksty Kownackiej dla najmłodszych czytelników, sugerowała tematy i pomagała w niektórych rozwiązaniach. Nie posiadając własnych potomków, Kownacka swoje instynkty macierzyńskie realizowała służąc wszystkim dzieciom. Nie przeszła obok małego człowieka na ulicy, by doń nie zagadnąć, nie zapytać o zainteresowania, o lektury, w tym o *Plastusiowy pamiętnik*...

Często podróżowaliśmy do Milówki w Beskidzie Żywieckim. Tu miała pisarka bazę u dyrektorki Liceum Ogólnokształcącego, dr Peteckiej (imienia nie pomnę). Pobyty Kownackiej w Żywieckim były nieraz kilkutygodniowe, pracowała tutaj, rozmawiała z okolicznymi ludźmi, zwiedzała okolice. Efekt tych kontaktów, jej zainteresowania szkołą, pracą nauczycieli widać w liście z 22 sierpnia 1976 roku, kiedy zwraca się do mnie jako rektora WSP z interwencją o przyjęcie na studia córki nauczycielki z Lalik:

„Panie Bolku Drogi – proszę mnie nie przeklinać! Ale skoro się Pan wdał w taką znajomość to trzeba ponosić konsekwencję...

Całe życie ludziom pomagam – co począć!

Chodzi o Wiesię Fułat z Lalik, zdała – ale... brak miejsca!!! Rodzice miejscowego pochodzenia, stara góralska rodzina. Oboje pracują z całym poświęceniem w fatalnym lokalu, biednej górskiej szkole. Fułatowa w tym roku dostała Złoty Krzyż Zasługi. Wiesia żyje szkołą!

Każdą wolną chwilę poświęca obmyślaniu i malowaniu haseł, sloganów., itp., ćwiczy grę na instrumentach jako samouk, wszystko to pod kątem swojej pracy w miejscowej szkole. Chyba właśnie na takich ludziach powinno władzom oświatowym najbardziej zależeć!!! [...] Zapał i entuzjazm w pracy nie zdarza się, niestety, często, a jeżeli, ktoś go przejawia – to prawdziwy skarb! Takiego się nie odrzuca – „choćby zdał – ale miejsca brak!!! Dla takich nie może zabraknąć miejsca”.

Przytoczyłem tutaj fragment listu Kownackiej, gdyż dobitnie świadczy on o jej społecznikowskiej postawie, wyrażonej nie tylko w korespondencji do mnie trosce o poziom nauczania, o kwalifikacje nauczycieli, o jakość całego systemu edukacji. Nota bene Wiesława Fułat ukończyła filologię polską w Wyższej Szkole Pedagogicznej

(dziś Akademia Pedagogiczna) im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie i podjęła pracę jako nauczycielka w rodzinnych Lalikach...

W miarę upływu lat relacje nasze stawały się coraz bardziej serdeczne. Traktowała mnie, żonę Barbarę i syna Piotra jak swoją najbliższą rodzinę. Wyrażało się to m.in. w nagłówkach do listów: od „Szanowny Panie”, przez „Szanowny, Drogi Panie”, „Panie Bolku Drogi”, „Panie Bolku Drogi, Miły”, „Panie Boleczku Drogi”, po „Panie Boleczku Najdroższy”. Także treść korespondencji stawała się coraz bardziej osobista. Od z początku oficjalnych informacji o swojej twórczości, sugestii bibliograficznych, fragmentów przesyłanych do opinii utworów, przez listy wyrażające jej pasję, walkę ze znieczulicą redaktorek wydawnictw i czasopism dziecięcych, po wyznania bardzo osobiste, opisy wizyt u lekarza i charakterystykę ciężkiej choroby, z jaką zmagala się przez lata. Coraz bardziej interesowała się naszym życiem, sukcesy i porażki przeżywała jak własne. Pamiętam, jak się cieszyła, gdy w lipcu 1965 roku narodził się nasz syn. Jeszcze przed jego przyjściem na świat ofiarowała mi nowe wydanie *Plastusiowego pamiętnika* z charakterystyczną dedykacją: „Jako biblioteki zaczątek dla przyszłych Faroniątek”. Dzisiaj ta książka jest własnością młodszego wnuka Mikołaja, jak martwiła się, gdy w sierpniu 1977 zmarła moja matka, jakimi mądrymi słowami usiłowała mi pomóc w odnalezieniu się w nowej, trudnej sytuacji. Przeżywała wszystkie naukowe sukcesy (np. uzyskanie tytułu profesora w 1978), każdą moją książkę, przeżywała wykonywane przeze mnie prace organizacyjne (rektora, ministra). Kibicowała wręcz. W listach wyrażała swą radość z właściwie – jej zdaniem – zrealizowanych inicjatyw ale też często radziła, sugerowała, gdyż – jak się już rzekło – sprawy oświaty, szkoły, nauczyciela były jej bardzo bliskie.

Często bywała u nas w Krakowie. Najpierw w niewielkim mieszkaniu (54 m<sup>2</sup>), co i tak w porównaniu z garsonierą na Żoliborzu (32 m<sup>2</sup>), było duże, na Olszy II przy ul. Miechowity 17, później po roku 1976 na Azorach w większym nieco segmencie przy ulicy Kozłówek (obecnie Wielkotyrnowska). Pod Wawelem pisarka załatwiła swoje sprawy literackie, odwiedzała wydawnictwa, przedszkola. W liście np. z 2 lutego 1968 roku pisze: „Byłoby ślicznie, gdyby Pan przyjechał pod koniec lutego i razem pojechalibyśmy do Krakowa. Ja bym sobie stanęła na Kopernika w przedszkolu, gdzie mam >>permanentne<< zaproszenie. Załatwiłabym Wyd[awnictwo] Lit[erackie], co trochę czasu zajmie. Prócz tego, chcę dotrzeć do Waszych etnografów – poszperać, może się co znajdzie o płaszczach. Kownackiej w jej podróżach zawsze towarzyszył notatnik i aparat fotograficzny. Niezwykłe troszczyła się o dokumentację faktograficzną. I tak np. do napisania *Rogasia z Doliny Roztoki* nie wystarczyły jej pobyty w Rytrze, odwiedziła Muzeum Etnograficzne w Krakowie, gdzie zapoznała się ze zwyczajami i obyczajami ludowymi z okolic nad Popradem. Z tych jej pobytów pod Wawelem zachowało się sporo zdjęć dokumentalnych: zwiedzane zabytki, odwiedzane miejsca (jak np. Kopiec Kościuszki), a także nasze życie rodzinne, a zwłaszcza wzrastanie i rozwój Piotra. Fotografie te opatrywała charakterystycznymi komentarzami, jak ta: „Kopiec Kościuszki, kwiecień 1967” – (na zdjęciu dwuletni Piotr obejmujący kamień na szczycie Kopca, obok Barbara), czy „Wspinaczka, kwiecień 1967, Olsza”

(na zdjęciu Piotr z łąkiem podchodzący pod górę), na podobnej fotografii z tego czasu „Prawda, że śliczny obrazek?”, a na swoim zdjęciu z Łomianek „Plastusiowo (Łomianki) 1971 r. „Oto tak – siała baba mak...” (aluzja do wiązek maku, jakie trzyma w ręku).

Maria Kownacka całe lato spędzała w Plastusiowie, czyli w swoim letnim domku w Łomiankach, oazie spokoju, znakomitym miejscu do pracy twórczej. Niewielką parterową budowlę otaczał z jednej strony uprawiany przez panią Natalię ogród warzywny. Czego tam nie było: ogórki, pomidory, dynie, tykwy, mak, koper, porzeczki, agrest, maliny, drzewa owocowe (wiśnie, grusze, jabłunki, śliwy), po drugiej stronie rozpościerał się trawnik, na którym w rogu rosły trzy brzozy. Pracowita Natalia przygotowywała z zebranych owoców przetwory na zimę, które jesienią przywoziło się do Warszawy. Byłem często zapraszany do Łomianek. „Plastusiowo czeka wraz z P. Izą Górską-Lewańską, kt[óra] chce być równocześnie z Panem” pisała 17 czerwca 1969 roku, czy 24 czerwca 1969. „Czekamy obie z Izą Lewańską w Plastusiowie, ona będzie od 30.VI do 8.VII i bb[ardzo] chce z panem omówić ważne sprawy, a więc wyglądamy Pana już od soboty (28.VI. dokąd Pan może!).” Moje wizyty w Łomiankach wspominam jako czas spokoju, wyciszenia, odpoczynku po miejskim tumultie. Pod wspomnianymi brzożami zasypiałem na leżaku jak kamień, a Kownacka uspokajała domowników, by znużonego gościa nie zbudzili jakim hałasem czy głośniejszą rozmową. Zatrzymywałem się też tutaj z całą rodziną w drodze na wakacyjny wypoczynek nad polskim morzem. Autorka – jak widać – troszczyła się moje kontakty z historykami i krytykami literatury dla dzieci i młodzieży Izabelą Górską-Lewańską czy Haliną Skrobiszewską).

Podsuwała mi wartościową literaturę. Tu tutaj w Łomiankach przeczytałem po raz pierwszy *Znaki ufności* Jana Twardowskiego, wydane w 1970 roku. Pisarka zwróciła mi uwagę na tę książeczkę nie znanego jeszcze szerzej poety. – Panie Bolku, niech pan przeczyta, to bardzo dobra poezja – rekomendowała. – O księdzu – poecie będzie kiedyś jeszcze bardzo głośno! Proszę zwrócić uwagę na jego stosunek do natury.

### 3.

Kiedy w lutym 1981 roku przeniosłem się z Krakowa do Warszawy, wydawało mi się, że teraz będę częstym gościem przy ulicy Słowackiego. Stało się inaczej. Niesamowite tempo pracy i życia tamtego czasu spowodowały, że nie były to częste wizyty. Po raz ostatni spotkałem się z pisarką 29 stycznia 1982 roku. Od jej przyjaciółki dowiedziałem się, że jest ciężko chora, że życzy sobie rozmawiać ze mną. Przyjechałem na Żoliborz przed południem. W mieszkaniu oprócz Marii Kownackiej nieodłączna Natalia Holnicka. Rozmowa z pisarką, jak zwykle o twórczości, o awanturach z redaktorami Naszej Księgarni, o znieczulicy na ludzkie sprawy, o dewastacji przyrody. Mimo złego stanu zdrowia Kownacka pełna była pomysłów, planów literackich, ani myślała się poddawać. Następną wizytę u autorki *Plastusiowego pamiętnika* zaplanowałem na niedzielę 28 lutego. Niestety, nie doszła ona do skutku. Wiadomość o śmierci pisarki

dotarła do mnie 27 lutego 1982 roku przed południem; informacje tę przekazał mi telefonicznie ktoś z jej bliskich. Mimo iż od dłuższego czasu ciężko chorowała, wieść ta zaskoczyła mnie mocno, wywołała wiele wspomnień, refleksji. Odeszła bowiem na zawsze osoba niezwykle, pisarka dla dzieci i młodzieży, nieustrudzona bojowniczką o społeczne wychowanie młodej generacji, o właściwe miejsce problematyki ochrony przyrody w programach szkolnych.

Kownackiej za życia zawsze towarzyszył nieodłączny Plastuś, lalka wykonana przez dzieci z jakiejś prowincjonalnej szkoły. W domu siedział na maszynie do pisania, nie rozstawała się z nim nawet na ulicy. Tych plastusiów była w garsonierze na Żoliborzu cała rodzina. Do tej, stworzonej przez siebie jeszcze w latach międzywojennych, postaci literackiej autorka była niezwykle przywiązana, Miała nawet pomysł ustawienia na Żoliborzu pomnika. W liście z 9 marca 1978 roku zwierzała się:

„A teraz ważna sprawa:

W listopadzie 1928 r. zamieszkałam na Żoliborzu i tego roku zaczęłam pisać *Plastusiowy pamiętnik*. Umyśliłam teraz zamówić u Zofii Woźnej (znakomita rzeźbiarka, mieszkanka Żoliborza) malutki, na miarę dziecka, *pomniczek Plastusia* piszącego pamiętnik (może siedzi na piórniku?...) i przekazać to dzieciom „Dzieciom Żoliborskim”, niech stoi gdzieś na skwerku, gdzie się dzieci bawią. Niewysoki – podstawa 1,50 m, figurka Plast[usia] ok. 30 cm.

Niestety, P. Zofia Woźna, młodsza ode mnie, ale już ledwo chodzi – i sama nie może podjąć, wysuwa jakiegoś młodszego kolegę – rzeźbiarza (ona robiła pomnik Korczaka z dziećmi sierocińca).

Bardzo szanuję Pana czas, ale to takie ważne dla mnie, a Pana rada i ocena najważniejsza! Co Pan o tym myśli?

Czy nie powiedzą zawistni, że >>Kownackiej się przewróciło w głowie – stawia pomniki swoim książkom<< Wiem, że część mieszkańców Żoliborza przyjmuje to jak najlepiej – ale co Pan o tym sądzi?!!!

Może by to był precedens?

Pyza Januszewskiej też by się nadawała na taką plenerową towarzyszkę zabaw dziecięcych! Nie mam pojęcia, ile taki pomnik może kosztować, i z czego to zrobić? Chyba sama figurka z granitu?

Tej Kownackiej zawsze coś musi strzelić do głowy, żeby się miała o co martwić. Prawda? Coś mi chodzi po głowie, żeby go ulepiły same dzieci. Przy „Pałacu” i przy „D[omu] K[ultury]” – to mogą robić w czasie zajęć plastycznych?”

Plastuś, o ile mi wiadomo, nigdy nie stanął na żoliborskim skwerku, umieszczono natomiast jego miniaturową figurkę na płycie grobu Marii Kownackiej na Cmentarzu Powąskowskim w Warszawie. Wiąże się z nim pewne przeżycie, jakiego doświadczyłem. Otóż, kiedy w pierwszą rocznicę śmierci pisarki w zimowy dzień usiłowałem odnaleźć jej mogiłę, miałem z tym pewne trudności. Wszystkie groby przysypane grubą warstwą śniegu wyglądały jednakowo. Po dłuższej wędrówce po ścieżkach cmentarnych na jednym z nich zauważyłem wystające spod śnieżnego puchu uszy. Były to uszy Plastusia, figurki z brązu. Jest w tym zwykłym przypadku coś symbolicznego...

## Historia rodziny Chwalibogów – część II „Z nad Dunajca w świat”

Marcin Henryk Michał Chwalibóg urodził się 6 marca 1873 roku w Gołkowicach jako syn Ignacego i Antoniny z Kisielewskich. Jego dziad Michał był właścicielem Jasiennej, ojciec już tylko dzierżawcą Gabonia, co zapewne miało związek z faktem, że potomstwo Michała i Teresy Wieniawa Długoszowskiej było liczne.

Po ukończeniu gimnazjum w Nowym Sączu, Henryk wstąpił na Wydział Medycyny Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i 20 maja 1898 roku uzyskał tytuł doktora medycyny. Jego imponującej wielkości dyplom pod auspicjami Cesarza Franciszka Józefa, podpisał Rektor Władysław Knapiński i Dziekan Stanisław Obaliński. Dyplom ten upoważniał go zarówno w zakresie medycyny ogólnej jak też chirurgii, okulistyki i położnictwa. I jest zrozumiałe, że w ówczesnych warunkach nie była to zbyteczna wiedza.

Jednak zanim poznamy dalsze losy „świeżo upieczonego” medyka musimy cofnąć się jeszcze o 14 dni do dnia 6 maja (piątek), bo właśnie wtedy w niewielkim pamiętniku zakupionym w Magazynie towarów galanteryjnych i papieru listowego w kasetkach, Rudolfa Herliczki w Krakowie, Plac Mariacki 1, na pierwszej stronie, znalazł się pisany wyrównanym, pochyłym pismem następujący zapis: „*Na świecie maj! Zielono, puszysto, kwiecisto i wonno!*

*A dla mnie maj podwójny – maj wiosny i maj serca! Pierwszy taki maj!...*”. Przeglądając dalej nieco poźólkę, z poślacaną krawędzią strony, na 11 zauważyliśmy pod datą 25 maja 98 (środa), pisany grubszym, bardziej nieregularnym charakterem wpis zaczynający się od słów: „*Jedyna, ukochana moja...*”. I już następnego



Doktor Henryk Chwalibóg z żoną Józefą z Uhmów.  
Zdjęcie z około 1916 r. (Ze zbiorów Krzysztofa Chwaliboga).

go dnia (czwartek) o godzinie 10.15 jest odpowiedź... Pamiętnik ma 63 kartki i aż do ostatniej zapełniają go na przemian te dwa rodzaje pisma. To uczuciowy dialog Henryka i Józi czyli Józefy z Uhmów, absolwentki seminarium nauczycielskiego w Krakowie. Teksty pisane o różnych porach dnia i wieczora zawsze wyrażają inten-

sywne uczucia i zawierają także pewne charakterystyczne realia. Henryk pisze w trakcie dyżurów z wojskowego (austriackiego) szpitala na Wawelu a Józia boi się aby nie zaraził się na oddziale chorób ocznych...

Ten dialog nie mógł nie doprowadzić wkrótce do ślubu pary korespondentów. Dzięki oprawionemu w brązową skórę pamiętnikowi, który dziwnym zrządzeniem losu przetrwał znacznie dłużej niż autorzy jego zapisów, mamy obecnie dokładną wiedzę w jakich okolicznościach na przełomie XIX-go i XX-go wieku, młody lekarz medycyny i nauczycielka założyli rodzinę, której los przez następne stulecie związał się niezwykle silnie z pewnym miejscem w dolinie Dunajca, w połowie drogi pomiędzy Starym Sączem i Krościenkiem...

Bo już po kilku latach, w 1905 roku, na zaproszenie burmistrza Pantaleona Lenartowicza, doktor Chwalibog przybywa razem z małżonką do Łącka, aby zostać pierwszym lekarzem medycyny w całej okolicy. Prowadzenie praktyki lekarskiej na rozległym terenie nie było sprawą łatwą, biorąc pod uwagę zarówno ówczesny poziom techniki (łączność, transport) jak i materialny i oświatowy stan społeczności wiejskiej. Aby docierać do zagubionych w górach zagród, młody doktor musiał kupić wierzchowca. Jednocześnie trzeba było prowadzić niewielką aptekę, w czym dopomagała mu żona Józefa.

Koń okazał się nie tylko przydatny do odwiedzania chorych w odległych górskich przysiółkach, 10 lipca 1910 roku, społeczność Łącka uczciła pięćsetlecie bitwy pod Grunwaldem patriotyczną uroczystością, w trakcie której, doktor Chwalibóg (w międzyczasie wybrany burmistrzem) jechał na czele 80 konnej góralskiej banderii na górę Zyndrama w Maszkowicach, aby wygłosić tam patriotyczne przemówienie.

Osiedlenie się doktorostwa w Łącku zapoczątkowało rozwój rodziny, już w 1905 narodził się syn Henryk, w 1906 Jaś, w 1907 Marysia a w 1911 Zbyszek. Tak też domostwo ze słoneczną werandą od południa i dwoma gankami usytuowane w rozległym ogrodzie położonym przy narożniku „gościńca” i ulicy Kościelnej wypełniło się życiem.

Ten kilkuletni okres pewnej stabilizacji przerwał wybuch I wojny światowej. W grudniu 1914 roku, kiedy wojska rosyjskie wkroczyły na Sądecczyznę, doktor miał podobno uspokajać ludność aby nie obawiała się Rosjan, za co sąd wojenny w Krościenku skazał go na rozstrzelanie, ale do wykonania wyroku już nie doszło...

Polski patriota, jeszcze do niedawna w austriackim mundurze, jednak tylko krótko mógł cieszyć się wybuchem niepodległości. Wyprawa do chorego gdzieś w Brzynie wymagała ostrego podejścia pod górę. Ubrany w kozuch doktor zgrzał się i spocił... Nie znano wówczas penicyliny i grypa „hiszpanka” była nieuleczalna. Zmarł 8 grudnia 1918 roku, osierocając rodzinę.

W wyniku tej zaskakującej śmierci 45 letniego zaledwie doktora, jego żona Józefa, z dnia na dzień utraciła materialną stabilizację. Nie było żadnych zasobów finansowych, a w latach powojennego kryzysu i galopującej dewaluacji, za całą równowartość wyposażenia gabinetu można było kupić... kilka bochenków chleba! Tymczasem czwórka dzieci wymagała nie tylko utrzymania ale także kształcenia. Posada nauczycielki zapewne nie wystarczyłaby na pokrycie związanych z tym



kosztów, dlatego nieoceniona stała się wydatna pomoc brata doktorowej, profesora Stefana Uhmy, który przez szereg lat wspierał łącką rodzinę.

Najstarszy z rodzeństwa Henryk wykazał swą samodzielność już w wieku trzynastu lat, kiedy w czasie trwającej jeszcze wojny uciekł z domu do legionów. Tu miało miejsce dziwne wydarzenie. Dostał konia z siodłem na którym było wypisane nazwisko... Chwalibóg! I rzeczywiście, w drugim legionowym pułku ułanów było dwóch Chwalibogów, a w pierwszym Chwalibóg-Piecek.

Legionowa przygoda skończyła się podobno dosyć szybko na skutek interwencji ojca, a wkrótce (już po wojnie) ambitny nowosądecki gimnazjalista mógł wyjechać na naukę do Francji, co umożliwiła jakaś ówczesna polsko-francuska umowa.

W ślad najstarszego brata także Jaś, Marysia i najmłodszy Zbyszek po ukończeniu szkoły powszechnej w Łącku zdążyli do Sącza. Chłopcy uczyli się w drugim gimnazjum i mieszkali w bursie (czyli współczesnym internacie). Sądecka szkoła dała młodym Chwalibogom solidne humanistyczne wykształcenie ze znajomością greki i łaciny i wszczepiła potężną dawkę patriotyzmu.

Tymczasem doktorowa dokonywała cudów aby znaleźć ciągle potrzebne środki materialne. Do skromnej pensji nauczycielskiej trzeba było dodawać dochody ze sprzedaży mleka aby zrównoważyć budżet rodziny.

Ze wspomnień Marysi wiemy, że Mama często była zmartwiona i nie trudno to zrozumieć. Jej były uczeń, a później ksiądz, tak ją wspomina: *„Bywałem z pomocami na porządki w ogrodzie raz po raz, u mojej tak bardzo kochanej także przeze mnie P.nauczycielki w osobie P. Józefy. Bo to mnie zapisało się w pamięci, że prawie codziennie bywała na Mszy świętej – zaś sam należałem do ministrantów i niekiedy bywałem zaproszony jeszcze przez nią na śniadanko, co wówczas ogromnie się liczyło, przez takiego bezherbowego chłopca”*.

Codziennie życie w „leśniczówce” (jak w Łącku nazywano dom) biegło swoim dosyć monotonnym rytmem. W długie jesienne i zimowe wieczory, przy naftowej lampie Mama i Marysia szyły, naprawiały odzież chłopców, czytały. Czasem odwiedzał dom zaprzyjaźniony ksiądz Kruczek. Jedną z nielicznych rozrywek Doktorowej było malowanie. Prawdopodobnie pod jej wpływem zaczął malować także młody Zbyszek.

Po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w Nowym Sączu, Maria a raczej Maryna (jak nazywano ją w rodzinie) w oczekiwaniu na posadę powróciła do domu. To okres pełen wybiegania myślą w przyszłość i pewnej refleksji. W jej pamiętniku z tego okresu można znaleźć takie słowa:

*„Rano sprzątałam jak zwykle ale dłużej zabawiałam się czytaniem Marii Magdaleny Daniłowskiego. Nie wiem czemu nie zachwyił mnie. O 11 poszłyśmy z Linką kochaną na pocztę. Tak lubię te pełne oczekiwania chodzenie po listy które zwykle zawodzą. Szczególnie to oczekiwanie niedzielne...”* I dalej: *„Właściwie może mnie het w świat, choćby nie wiem jak daleko, to znów nie mogę zrozumieć jak potrafiłabym żyć tam z dala od tego wszystkiego co tu kocham... Życia nie boję się zupełnie – mam jakąś wiarę że dam sobie radę. I nie chcę jej stracić”*.

To przecucie że będzie gdzieś daleko już miała...

## ***Strój ludowy w okolicach Łącka i Jazowska od XVII – XX wieku***

Część druga – w. XX

W 1895 roku powstało we Lwowie Towarzystwo Ludoznawcze. Działalność tej organizacji obejmowała prace naukowe – prowadzone w oddziałach, badawcze, odczytowe, oraz wydawnicze. Organem Towarzystwa było czasopismo „Lud” którego pierwszy tom ukazał się w 1895 r. Redaktorem i założycielem był Antoni Kalina. Z początkiem 1904 r. redakcję „Ludu” przeniesiono ze Lwowa do Krakowa i powierzono Sewerynowi Udzieli oraz Karolowi Potkańskiemu<sup>1</sup>. W XI tomie który wyszedł 1905 r. ukazała się publikacja Jana Ćwikowskiego p.t. „Stroje ludowe w parafii Łącko w powiecie Nowosądeckim”. Praca ta wzbogacona została dwoma fotografiami „Chłopcy z Czerńca w parafii łąckiej” oraz „Dziewczeta z Czerńca w parafii łąckiej”. Zdjęcia te wykonał Seweryn Udziela. Oryginały znajdują się w archiwum Muzeum Etnograficznego w Krakowie. Jan Ćwikowski w pierwszych latach XX wieku zatrudniony był w sześcioklasowej szkole im. Tadeusza Kościuszki (wówczas jeszcze) w Podgórzu koło Krakowa<sup>2</sup>. Rolę inspektora szkolnego pełnił w tych latach wywodzący się rodem ze Starego Sącza – Seweryn Udziela<sup>3</sup>, który równolegle z działalnością pedagogiczną i społeczną prowadził badania terenowe, zbierał materiały etnograficzne, oraz gromadził okazy kultury ludowej.



*Dziewczeta z Kiczni w strojach ludowych. 1921 r.*

Na wstępie swojej pracy Ćwikowski pisze: „***Parafia Łącko rozsiadła się nad Dunajcem na granicy Lachów i Górali. Stąd też strój ludu tutejszego przejmując właściwości jednych i drugich. (...) Właściwie strój tutejszy jest więcej zbliżony do lachowskiego tak krojem jak haftem, a że ulega powoli ale stale i widocznie zmianom i za lat niewiele nie będzie podobny do dzisiejszego, więc uważam za wskazane opisać go w „Ludzie”***”<sup>4</sup>.

Dzięki tej pracy możemy się obecnie dowiedzieć jak ubierali się nasi pradziadowie na początku XX wieku. W pierwszym rozdziale opisał strój męski. Ubraniem

<sup>1</sup> *Towarzystwo Ludoznawcze*, w: Słownik polskich towarzystw naukowych, t. 1, s. 141-142, Ossolineum 1978.

<sup>2</sup> Szematyzm Królestwa Galicji..., na rok 1904, s. 615.

<sup>3</sup> Znakomity etnograf, żył w latach 1857-1937, twórca i dyrektor Muzeum Etnograficznego w Krakowie.

<sup>4</sup> J. Ćwikowski, „*Stroje ludowe parafii Łącko*”, „Lud” t. XI, 1905, s. 55.



*Dziewczęta z Kiczni w strojach ludowych. 1946 r.*

codziennym letnim, były spodnie zwane „płóciankami” z tkaniny zgrzebnej. Grubość jej zależała od grubości uprzedzonych na kołowrotku (pół lnu i pół konopi) nici. Koszulę noszono z tego samego płótna tylko nieco cieńszą, długą ponad kolana, zapinaną pod szyją na guziki. Przepasana była kilkakrotnie paskiem kupionym na jarmarku od rymarzy starosądeckich. Niektórzy mężczyźni przywdziewali na koszule kamizelki z tandetnej materii kupionej na jarmarku od Żydów z Nowego Sącza. Koszulę na piersiach spinano mosiężną spinką, pod szyją wiązano kolorową tasiemką. Za obuwie codzienne służyły „kырce”. Nogi do „kырцы” owijano białą szmatą zwaną onucką lub całką. Często także chodzono boso. Głowy przykrywano filcowymi kapeluszami, z kanią na dół opadającą, opasane łańcuszkami lub kostkami. Na niedzielę i święto mężczyźni ubierali koszule i płócianki z cieńszego płótna (własnego wyrobu) bardziej wybielonego na słońcu. Bogatsi nosili buty skórzane z cholewkami. W zimie ubierali spodnie z białego sukna własnego wyrobu ozdobione sznurkiem, haftem czerwonym i niebieskim. Spodnie szyli miejscowi krawcy. Gotowe kosztowały od 6-10 koron. Na głowę kładli mężczyźni czapki które robili miejscowi kuśnierze ze skór baranich. W niedzielę ubierali kożuchy długie przeważnie żółte. Biedniejsi chodzili w zimie w gurmanach. Za onucki w zimie ubierano tzw. „kапcie”, rodzaj skarpetek z sukna, lub z wełnianych nici. W drugim rozdziale opisuje strój dziewcząt i kobiet w sposób następujący: (...) **„Koszula z płótna własnego, lnianego, półlniankowego lub konopnego, którą szyje każda gospodyni. Koszula dzieli się na**

*dwie części: na właściwą koszulę do pasa i nadolek, od pasa pod kolana. Nadolek jest zazwyczaj z grubszego płótna. Do kołnierza przyszywają kryzki, robione szydełkiem z bawełny, z ząbkami lub perkalowe, haftowane bawełną czerwoną i niebieską w listeczki, kropki itp. Owe kryzki są niedawnym nabytkiem ze szkoły. Dawniej nosiły niewiasty kołnierze wykładane bez wyszywań i kryzek wiązane czerwoną wstążeczką. Oszywki u rękawów są wąskie, zapinane jak u mężczyzn<sup>25</sup>.* Z dalszego opisu Ćwikowskiego dowiadujemy się że kobiety nosiły dwie spódnice. Na spód tzw. „barchetkę” ciepłą z barchanu, na wierzch „farbówkę” z różnego koloru, najczęściej granatową z kropkami. Każda spódnica składała się z 5-6 półek czyli tzw. brytów. Na spódnice ubierały zapaski różnie ubarwione. Na głowach nosiły chusteczki różnego koloru. W zimie tybetowe w lecie perkalowe. Na koszule ubierały tzw. „wizytki” czyli kaftaniki wolne. W lecie kobiety i dziewczęta chodziły przeważnie boso. W zimie w kyrpcach a gospodynie nosiły buty trzewiki. Strój niedzielny kobiet i dziewcząt składał się z następujących części: koszuli perkalowej lub lnianej z kryzkami, spódnic perkalowych różnego koloru, których ubierano na siebie od dwóch do pięciu. Na ostatnią spódnicę zakładano biały fartuch z ząbkami haftowanymi dołem, albo przyszytą robioną szydełkiem koronką, na to zapaskę białą perkalową haftowaną dołem. Dziewczyny nosiły w lecie aksamitne, czarne gorsety, wyszywane blaszkami i paciorkami. Haftowały je miejscowe szwaczki. Na gorset narzucały lekkie chustki, rypsowe lub tybetowe. W zimie nosiły katanki wełniane podszywane z kieszonkami z aksamitu lub kaszmirku, zapinane na tasiemki czarne i guziki. Mężatki nosiły czepiec. Chustki na czepiec były z tiulu lub muslinu. Bogate gospodynie i ich córki nosiły na szyi prawdziwe korale wartości kilkudziesięciu koron. Chodziły w butach z cholewkami lub trzewikach. Miało to także miejsce wtedy jeśli chłopak z parafii Łąckiej ożenił się np. w Podegrodziu i sprowadził żonę z posagiem (ubiorów podegrodzkich) do siebie. Jan Ćwikowski oprócz cytowanej wyżej publikacji pozostawił po sobie zapis nutowy piosenek ludowych śpiewanych na terenie Łącka i zapisanych jeszcze przed I wojną światową.

Udziela w swoich pracach posługiwał się przeważnie metodą opisową. W archiwum Muzeum Etnograficznego w Krakowie, znajduje się rękopis który wyszedł spod jego pióra, (1903 r.) zanotował tam pewne wiadomości dotyczące stroju ludności Łącka w sposób następujący: (...) *„Ubranie jest dwojakie do roboty i świątalne. Do roboty parobczaki – gospodarze bieliznę mają z płótna domowego. Koszule z płótna cienkiego spodnie ze zgrzebnego, (...) w porze zimowej wdziewają spodnie sukienne białe – wyrób domowy z wełny owczej<sup>26</sup>.* W dalszej części opisuje w jaki sposób wyrabiano odzież (...) *„W zimie cała służba jak i domownicy wieczorami przędą. Parobek każdy ma wyznaczone ile ma uprząść do Nowego Roku. (...) Do przędzenia potrzeba kądzieli która się składa z przysiadełka, przędzela i wrzeciona. Na motowidle są pasma, 60 pasm jest sztuka. Tkacz znajduje się*

<sup>5</sup> Tamże, s. 59

<sup>6</sup> Wypisy Seweryna Udzieli, – „Lud Sandecki” – rkp I/1423 s. 16. (Archiwum Etnograficzne w Krakowie)

*niemal w każdej wsi – zwany knap*<sup>77</sup>. Udziela opublikował także w tomie X „Ludu” dość obszerną pracę p.t. „Kilka słów o strojach, budowlach, sprzętach i naczyniach w Sądecczyźnie”. Pisze we ściepie: (...) „*Poczucie piękna wysoko u tego ludu rozwinięte daje się na pierwszy rzut oka spostrzec w strojach bogato haftowanych, w ozdobnych budynkach mieszkalnych i gospodarskich. (...) Ile tam wdzięku, ile piękności wysnutej z własnej duszy nieuczonego wieśniaka, czasem naśladowanej, ale pojętej i przerobionej na swój sposób. (...) Kto chce zobaczyć, jak się ubiera i stroi lud wiejski w Sądecczyźnie, a nie może jeździć po jarmarkach do Starego i Nowego Sącza, do Łącka, (...) nie może każdej niedzieli i święta być w innym kościele parafialnym, niechaj wybierze się w lipcu na odpust do klasztoru bł. Kunegundy w Starym Sączu, a tam zobaczy zgromadzony razem lud z całej Ziemi Sądeckiej w jej dawnych granicach historycznych*”<sup>78</sup>. W czasie sprzyjającej pogody okoliczni duszpasterze oraz przewodnicy odpustowi z bliższych i dalszych miejscowości prowadzili grupy wiernych, idąc pieszo niekiedy kilkanaście godzin do Starego Sącza. (...) „*Koło klasztoru gwarno, tłumnie – a jak barwnie?! Oko nie może się oderwać od tych pięknych strojów, od tych wspaniałych, a różnobarwnych haftów na nich. Jedno ubranie ładniejsze i bogatsze od drugiego. Męska odzież idzie w zawody ze strojem kobiecym i wychodzi z tego porównania zwyciężko*”<sup>79</sup>. Cytowana publikacja wzbogacona jest fotografiami oraz rysunkami które przedstawiają piękno stroju, oraz wzory i szablony wyszyć. Szyciem bielizny i odzieży na wsi zajmowali się krawcy i szwaczki. Nie było to często ich jedynym zajęciem. Najczęściej rzemiosło to kwitło po zbiorach jesiennych w polu. Brały szwaczki i krawcy igły do rąk spracowanych, do palców zgrubiałych o twardej i szorskiej skórze haftując małe arcydzieła. Od ojców uczyli się synowie, od matek córki. Jeśli zmarł krawiec stary, który przez pół wieku stroił wieśniaków w okolicy a nie zostawił syna krawca strata ta dała się odczuć dotkliwie w okolicy. Udziela podaje że w 1903 r. w Jazowsku i Obidzy było po jednym krawcu szyjącym gurmany. Bogaci



Zofia Wnęk przy kądzieli. 1944 r.

<sup>77</sup> Wypisy Seweryna Udzieli, op. cit., s. 18.

<sup>78</sup> S. Udziela, Kilka słów o strojach, budowlach, sprzętach i naczyniach w Sądecczyźnie, „Lud” t. X, s. 170.

<sup>79</sup> Tamże.

gazdowie nosili ubrania zdobione bardzo wykwiennie. Biedniejsi ubrani chodzili w portki i gurmany bez żadnych wyszyć. Gurmany haftowane były farbowaną na różne kolory wełną. Barwniki kupowano na jarmarkach. Do haftowania gorsetów używano nici jedwabnych i różnobarwnych paciorków szklanych, które do jednego gorsetu kosztowały niekiedy około 4 koron. Stroje ozdabiano guzikami blaszanymi białymi lub żółtymi. Autor bardzo dokładnie udokumentował wszystkie ornamenty i wzory wyszyć na bluzkach, koszulach, kamizelkach, portkach i gurmanach. W publikacji pt. „Artyzm wiejski w Ziemi Sądeckiej” przedstawia rysunki i opisy, dając poszczególnym ornamentom i wzorom nazwy. Pisze: **„Przypatrzmy się dzisiaj zdobnictwu ludowemu w Sądecczyźnie. Tworzy ono zamkniętą w sobie całość, styl pewien, przejawiający się w całym otoczeniu wieśniaka tutejszego, który operując dwudziestu kilkoma zdobinkami, kombinując je ze sobą w różny sposób, (...) przyozdabia (...) strój z nieporównanym wdziękiem. Do najczęściej używanych zdobinek w tworzeniu ornamentu należą: Cyfra (serce), topolki, ogóreczki i rapki (łapki ptasie)”**<sup>10</sup>. Kończąc publikację zaznaczył, że żałuje bardzo bo nie może podać kilku wzorów barwnych, aby wykazać że w zestawieniu kolorów, wygląda to bardziej okazale, gdyż chłopcy i kobiety w Sądecczyźnie są również wspaniałymi artystami.

W przewodniku opracowanym dla wycieczki krajoznawczej XI Zjazdu Polskich Lekarzy i Przyrodników można także odnaleźć kilka niewielkich opisów stroju: (...) **„Od Łącka zaczyna lud coraz więcej wyglądać „po góralsku”. Spotykamy częściej kierpce i futrzane serdaki, których Lachy nie nosiły”**<sup>11</sup>. W publikacji tej zamieszczone są m. in. opisy przyrody, sprawy gospodarcze, budownictwo, prehistoria i antropogeografia miejscowości położonych w dolinie Dunajca.

Należąca do gminy Łącko miejscowość Szczereż jest wsią pogranicza między Góralami Łąckimi a Lachami Limanowsko-sądeckimi. Ciekawy opis stroju ludowego z tej miejscowości odnalazłam w rękopisie skreślonym ręką Antoniego Talara – Zaręby zatytułowany „Stroje męskie Szczereż pod Łąckiem”. Pisze: **„Przyszła niedziela to każdy wdziwał buty z polskimi cholewami, pięknie karbowane. (...) koszule to już na dwie dłonie były wyszywane, jedne na czerwono inne na biało. (...) Pod szyję czerwona wstążka kabzlami i szychem wybijana, a na pasku długim, że się trzy razy nim obijał pełno było mosiężnych lśniących guzików”**<sup>12</sup>. Bogaci gazdowie nosili gurmany spodem wyszywane z wielkim tzw. poczwórnym kutasem z lewej strony.

W pierwszej połowie lat trzydziestych (okresu międzywojennego) zaczęły pojawiać się publikacje o ginącym stroju ludowym. Apelowano w nich aby otoczyć opieką wytwórców, krawców wiejskich, podkreślano ogromną wartość stroju ludowego. Do osób tych należał m.in. malarz Józef Pieniążek. W swojej publikacji na ten temat pisze: **„W strojnictwie naszym ludowym są wartości stałe i ogromnie cenne, są piękne tradycje z dziada pradziada (...) które w teraźniejszych czasach zanikają pod naporem bezstylowej obcej tandety. Strój ludowy, jego istnienie i rozwój ma ścisły związek z ziemią, z przyrodzonymi warunkami bytu, ze zwyczajami, obrzędowością**

<sup>10</sup> S. Udziela, *Artyzm wiejski w Ziemi Sądeckiej*, w; „Lud słowiański” t. I, s. 93. Kraków 1929–1930.

<sup>11</sup> L. Sawicki, *Dunajcem z niziny nadwiślańskiej w Tatry*, przewodnik dla wycieczki krajoznawczej XI Zjazdu Poskich Lekarzy i Przyrodników, Kraków 1911, s. 45. (oprac. na podstawie materiałów dostarczonych przez m.in. F. Bujaka, S. Udzielę, K. Nitscha, W. Demetrykiewicza).

<sup>12</sup> A. Talar Zaręba, *Stroje męskie Szczereż pod Łąckiem*, – rkp II / 1090 (Archiwum Etnograficzne Kraków). Publikacja drukowana, zob. „W naszym kraju” 1906, zeszyt 20, t. II, s. 30–31.

*i świętami i jest najwierniejszym odbiciem i przejawem starej ludowej kultury*<sup>13</sup>. Temat ten poruszał również Mieczysław Cholewa pisząc: *„Że ginie strój, to wszyscy wiedzą ale niech się znajdzie kilkaset złotych na prowadzenie kursów dla krawców, to zapewniam, że Ziemia Sądecka stanie znów w blaskach barw i gry kolorów i tak jak dawniej wnosila przez wieki wiele do skarbcza ogólnopolskiej kultury, tak teraz umocni tę kulturę i jeszcze wzbogaci ją o nowe pierwiastki i formy*<sup>14</sup>. Przyczyną zanikania stroju ludowego był także w okresie międzywojennym zastój w hodowli owiec i uprawie lnu. W tygodniku sądeckim „Głos Podhala” pisano: *„Po dłuższym zastoju jaki miał miejsce w całej Polsce na nowo zaczyna rozwijać się chów owiec i uprawa lnu. W Sądeczynie ma to szczególne znaczenie, ponieważ strój ludowy któremu znawcy przyznają pierwszeństwo i zaliczają go do najpiękniejszego w Polsce, będzie mógł nadal zachować swą świeżość i piękność. Od czasów I wojny światowej ginie on w zastraszający sposób. Jedni nie chcą go nosić wstydząc się go, – to młode pokolenie. Starzy skarżą się na brak wełny, lnu i godziwych krawców. Piękne, o misternych wzorach, wełniane gurmamy obraca się na płachty na konie*<sup>15</sup>. Wełna, konopie i len stanowiły główny surowiec wyjściowy do produkcji odzieży na wsi. Poza tym w II Rzeczypospolitej w miastach nastąpił znaczny rozwój przemysłu lekkiego. Wytwory tkackie wełniane i bawełniane sprzedawali kupcy na jarmarkach, handlowali nimi domokrażcy. Ludność wiejska dzieliła odzież na „kupną” i wytworzoną u siebie. Młodzież Ignęła bardziej do strojów jarmarcznych. Stare pokolenie przywiązane do strojów praocjów, odzież tą nazywało „tandytą miejską”. Powstające w pierwszej połowie lat trzydziestych (XX w) zespoły regionalne na terenie Sądeczyny, upodobały sobie dołączyć do stroju dziewczęcego spódnice „krakowskie”. Na przedwojennych „Zjazdach Górskich” równoległe z występami zespołów folklorystycznych pokazywano wyroby oraz warsztaty pracy wiejskich rzemieślników, m. in. krawców zdobników. Na „Święcie Gór” w Zakopanem 1935 r. nagrodzony został krawiec zdobnik, Jan Bulanda z Zabrzeży. Na terenie Łącka szyciem i ozdabianiem strojów w tym okresie zajmowali się m.in.: Wojciech Mszański i Zofia Wnęk w Zabrzeży, Michał Kowalczyk w Kiczni, oraz Józef Turek (szyjący kierpce) w Łącku<sup>16</sup>. Pięknie ozdabiane kozuchy wyrabiał kuśnierz – Antoni Kurzeja.

W 1938 r. z inicjatywy „Związku Ziem Górskich” przy Muzeum Etnograficznym w Krakowie, utworzono poradnię w sprawach strojów ludowych, której kierownikiem został młody wówczas etnograf – Roman Reinfuss. Jej celem było zbieranie i dokumentowanie materiałów związanych z ubiorami poszczególnych grup etnograficznych. Druga wojna światowa przerwała zapoczątkowane dzieło, zniweczając wiele ludzkich pomysłów i osiągnięć. Zaginęło dużo cennych materiałów, dokumentów, oraz eksponatów zgromadzonych w muzeach.

Po II wojnie światowej z ramienia m.in. Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, Państwowego Instytutu Sztuki, oraz działalności muzeów etnograficznych i regionalnych otoczono opieką wytwórców ginącego stroju. W grudniu 1951 r. otwarto w Nowym Sączu

<sup>13</sup> J. Pieniążek, *O ginącym stroju ludowym i ostatnich jego wytwórcach*. Kraków 1934, s. 3. (odbitka z „Wierchów” R. XII).

<sup>14</sup> M. Cholewa, *Strojnictwo ludowe w Ziemi Sądeckiej*, w; „Młoda Polska” (miesięcznik MZML), nr 5 z 15 maja 1937, s. 14

<sup>15</sup> M. Cholewa, *Znaczenie lnu i wełny w Ziemi Sądeckiej*, w; „Głos Podhala” nr 15 z 10 kwietnia 1938, s. 5

<sup>16</sup> M. Cholewa, *Ziemia Sądecka*, Nowy Sącz 1938?, s. 10

powiatową Wystawę Sztuki Ludowej. Z dziedziny haftu białego pokazano m. in. koszulę haftowaną unikalnym wzorem przez Wiktorię Janczurę z Łącka<sup>17</sup>. Pięknym przykładem haftu wykonanego barwną nicią wełnianą była na wystawie „gurmana” z okolic Łącka, szyta z brązowego samodziałowego sukna, ozdobiona na kołnierzu, wzdłuż rozcięcia na piersiach oraz przy mankietach szerokimi szlakami haftu łańcuszkowego w kolorze czerwonym, zielonym, żółtym i granatowym. Wystawiane były m.in. przez Wiktorię Janczurę haftowane chustki na głowę z czarnego jedwabiu ozdobione po krajach szlakiem haftu płaskiego o motywach naśladowujących wzory kwiatowe z drukowanych chustek fabrycznych<sup>18</sup>. Pokazano również haftowane gorsety przez Rozalię i Anielę Pierzchałę z Brzyny.

Rozwój przemysłu włókienniczego w miastach, spadek hodowli owiec, oraz coraz mniejsze zainteresowanie uprawą lnu, doprowadziło w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX w. do unicestwienia przemysłu ludowego. Stroje zachowały jedynie Zespoły Regionalne. Choć są odnawiane i szyte na nowo ze współczesnych tkanin, to jednak coraz słabiej przypominają oryginalne wzory przechowywane w muzeach.

Dobrze się stało, że ubiór Górali Łąckich doczekał się opracowania monograficznego. Tego pięknego dzieła dokonał wielki znawca stroju – Jan Wielek. Książka ukazała się w formacie A/4 z serii Atlas Polskich Strojów Ludowych – wydawanej przez Polskie Towarzystwo Ludoznawcze. Monografia nosi tytuł – **„Strój Górali Łąckich”**, wydana we Wrocławiu w 1999 r. Zainteresowane osoby, które chciałyby uszyć i wyhaftować jakąś część stroju męskiego lub kobiecego odsyłam do wspaniałej lektury.

Pisząc o stroju górali łąckich należy wspomnieć jeszcze o dwóch pracach które zasługują na uwagę. Jest to publikacja Krystyny Hermanowicz – Nowak – „Odzież ludowa wsi Łącko i Obidza”, która ukazała się w tomie p.t. Studia z kultury ludowej Beskidu Sądeckiego, (s. 137-161) wydanym przez Komisję Etnograficzną – PAN oddział w Krakowie w 1985 r. Niewielkiego rozmiaru opisy stroju można znaleźć w maszynopisie Stanisława Baziaka p.t. „Zwyczaje i obrzędy ludowe w regionie łąckim”. Autor opisał wygląd stroju weselnego (s. 64-66, 85) gospodarzy, starostów, družbów oraz pana młodego i jego oblubienicy.

Publikacje, opisy i fotografie dotyczące Naszego Stroju Ludowego powinny znaleźć szczytne miejsce w Izbie Regionalnej, gdyż mogą uzupełnić w sposób częściowy brakujące części stroju, które z różnych przyczyn nie przetrwały do dnia dzisiejszego. Zbyt szybko ludność uległa współczesnej modzie nie przywiązując uwagi do wartości stroju przodków. Odzież szczególnie wełniana wymaga specjalnego przechowywania, prania i wietrzenia. Nasi dziadkowie często ubrania wełniane przechowywali w zamkniętych bez dostępu powietrza skrzyniach, toteż szybciej ulegały niszczeniu.

W obecnych czasach zaczyna wchodzić moda na stroje regionalne, (szyją je mnożące się organizacje regionalistyczne) które z każdym rokiem są coraz trudniejsze do odtworzenia. Ciężko zdobyć na rynku utkany materiał lniany o grubej nitce wątku i osnowy, oraz tybet wełniany na spódnice. Szanujmy więc resztki oryginalnych strojów łąckich, zachowanych po swoich przodkach, bo jeśli je nie ocalimy GÓRALAMI ŁĄCKIMI będziemy tylko z nazwy.

<sup>17</sup> E. Janikowska, *Sprawozdanie z Wystawy Sztuki Ludowej powiatu Nowosądeckiego*, w: „Polska Sztuka Ludowa” nr 1, styczeń-luty 1952, s. 103 (zamieszczona czarno-biała fotografia haftu).

<sup>18</sup> Tamże, s. 105.



## *Działalność Szkolnego Zespołu Pieśni i Tańca w Łącku w latach 1952 – 1954*

---

Motywacją założenia szkolnego zespołu pieśni i tańca przy Szkole Podstawowej w Łącku, była niewątpliwie chęć kultywowania pięknych tradycji, istniejącego sprzed II wojny światowej, starszego, regionalnego zespołu „Duże Łącko”.

Początek działalności młodzieżowego zespołu wiąże się z datą 1 września 1952 r., kiedy to kierownictwo Świetlicy Szkolnej w Łącku objęła nauczycielka Jadwiga Kędzierska, mająca 15 letnie doświadczenie w prowadzeniu zespołów artystycznych i wymagane kwalifikacje.

Stało się tak, dzięki ogromnemu zaangażowaniu kierownika Szkoły Podstawowej w Łącku, Kazimierza Nowaka i pełnej akceptacji grona nauczycielskiego, których celem było propagowanie muzyki, tańca i śpiewu, tak bardzo ukochanych przez Łąckowian.

Pierwszymi instruktorami zespołu byli: Stanisław Baziak i Józef Marek z Łącka, którzy opracowali łącki taniec zbójnicki i krzesanego, wykonywane przez grupę uczniów, składającą się z sześciu chłopców i jednej dziewczynki. Pierwotny, pełny skład szkolnego zespołu pieśni i tańca liczył 20 osób, w tym 9 uczennic i 11 uczniów.

Uczennice: Zofia Arendarczyk, Maria Bieniek, Jadwiga Gromala, Maria Jurkowska, Janina Leśniak, Jadwiga Linder, Helena Mrówka, Krystyna Pasoń, Elżbieta Popiołek.

Uczniowie: Piotr Arendarczyk, Jan Chronowski, Aleksander Krzywdziński, Władysław Kurzeja, Mieczysław Linder, Stanisław Sopata, Czesław Trembecki, Kazimierz Trembecki, Jan Turek, Piotr Turek, Andrzej Zasadny.

W roku założenia zespół opracował następujące inscenizacje:

1/ „Po cóżeś mnie matuleńko” 2/ „Nowy mazur” 3/ „Odejdź Jasiu od okienka” 4/ „Hej, ode wsi do miasta”.

Ponadto – wprowadził do repertuaru tańce: 1/ Kujawiak, 2/ Krakowiak, 3 / Balet lalek, 4 / Widowisko regionalne.

Po raz pierwszy zespół wystąpił z tym repertuarem w Łącku, w dniu 15 lutego 1953r. w „Wieczorze Pieśni i Tańca”, ocenionym bardzo pozytywnie przez miejscowe społeczeństwo.

Następnie zespół ten, w dniu 26 kwietnia 1953r. zaprezentował łąckie widowisko regionalne, w czasie



„Małe Łącko”

powiatowych eliminacji „Młodzieżowych i Dziecięcych Zespołów Artystycznych” w Nowym Sączu, uzyskując I miejsce. Sukces ten powtórzył podczas wojewódzkich eliminacji zespołów w Krakowie, by w nagrodę, uczestniczyć w eliminacjach centralnych w Warszawie.

W czasie pobytu w stolicy, w dniu 22 lipca 1953 r. zespół prezentował „Widowisko regionalne” na Placu Konstytucji i tam zauroczył widzów, zyskując ogromny aplauz. Pobyt w Warszawie zbiegł się ze Światowym Festiwałem Młodzieży i Studentów. Wyróżnieniem dla naszego zespołu było uczestnictwo w centralnej defiladzie, w Warszawie, wraz z młodzieżą całej Polski. W imieniu dzieci województwa krakowskiego, nasza uczennica, Helena Mrówka wręczyła wiązanek kwiatów prezydentowi Rzeczypospolitej, Bolesławowi Bierutowi. W godzinach popołudniowych zespół wystąpił ze swoim repertuarem w lasku na Bielanach i wspólnie z zespołem „Mazowsze” zabawiał widzów tańcami i śpiewem. Obecna była m.in. solistka „Mazowsza”, Irena Santor.



*Wejście grupy dziewcząt*

Wspominając o zespole, nie sposób pominąć zasług kapeli ludowej Franciszka Kurzei, w skład której wchodził także: Władysław Kurzeja, Jan Dziedzina i Franciszek Szczepaniak, popularnie zwany „Cuś”, którego zapamiętano, jako człowieka obdarzonego osobistym urokiem, bardzo sympatycznego, powszechnie lubianego. Na szczególne wyróżnienie zasługują członkowie zespołu, wykonującego taniec krzesany, a mianowicie: Helena Mrówka i Piotr

Arendarczyk. Taniec ten był powszechnie skandowany, dodawał splendoru całemu zespołowi.

Rozpoczął się przyspiewką w wykonaniu Piotrka: „A jo sobie, a jo se kupie Kaśce kalose, A Marynie papucie, ona nigdzie nie pódzie!”, lub też:

„Z góry, z góry nie z wysoka, skoczył diabeł do potoka. Do potoka głębokiego, co nie wyjdzie nigdy z niego”. Następnie partnerka była zwiertana przez Aleksandra Krzywdzińskiego i rozpoczynał się taniec, a z nim owacje, którym nie było końca.

Wyróżnić także należy członka zespołu, Piotra Turka, który zachwycał publiczność grą na listku bluszczowym



i pięknym śpiewem. We wstępie, który poprzedza inscenizację „Sobótki”, śpiewał:

„Jestem Łąckowianin i Łącko miłuję, A w śpiewce i tańcu, wsensdy tyz przoduje. Łącko nase Łącko, jakżes cie nie lubić, Któz tak piknym strojem może się pochłubić.”



Śpiewka kończy się słowami: „Sady, łąckie sady, Złotokłose pola, Zmieniły się casy, Nie wróci zło doła”. Należy wyjaśnić, że inscenizację „Sobótki” opracował Marian Mikuła, na podstawie materiałów dostarczonych przez dyrektora Szkoły Podstawowej w Nowym Sączu Edwarda Fydę. Wykorzystano stare, łąckie przysłówki, tańce i zabawy.

Wspomnieć wypada o trudnościach, z jakimi borykał się zespół.

Szczególnie dotyczyły one strojów, które początkowo wykonywane były we własnym zakresie (uczniowie i rodzice). Pomimo wsparcia finansowego ze strony Gminnej Spółdzielni „SCH Łącko” i Wydziału Kultury Powiatowej Rady Narodowej w Nowym Sączu, umożliwiającego zakup gorsetów, spodni, spódnic, kapeluszy i ciupag, zachodziła konieczność dalszego uzupełniania. Z pomocą śpieszyli artyści ludowi: Stanisław Baziak – wykonanie spodni, Franciszek Janc – wykonanie spodni, gurmany, Józef Turek – wykonanie kierpców.

Wyjazdy zespołu poza Łącko były organizowane z wykorzystaniem samochodów ciężarowych, odkrytych.

W roku 1953 zespół dał następujące występy:

1. Nowy Sącz – na spotkaniu z młodymi nauczycielami.
2. Ujanowice – Święto Ludowe
3. Podegrodzie – Dożynki Rejonowe
4. Zagorzyn – Otwarcie Domu Strażaka.
5. Zabrzeż – Dni Oświaty, Książki i Prasy.
6. Jazowsko – prezentacja zespołów szkolnych.
7. Tarnów – Dożynki Powiatowe.
8. Udział we wspomnianych już eliminacjach powiatowych, wojewódzkich i centralnych.

Pod koniec 1953 r. zespół powiększył się do 26 osób. Wówczas, obok zespołu regionalnego, ćwiczył zespół taneczny, wykonując taniec rosyjski „Uliłuszkę”

W 1954r. zespół szkolny wziął udział w Ogólnopolskim Festiwalu Turystycznym w Szczawnicy, zdobywając I miejsce i dyplom uznania. W tym też roku, w dniu 1 września, powstał nowy zespół artystyczno – taneczny, liczący 30 osób, (20 dziewczynek i 10 chłopców). Opracowano inscenizację, m.in. „Przeorały raz i drugi”

W okresie od 10 grudnia 1954 r. do 19 lutego 1955 r., z powodu choroby instruktorki Jadwigi Kędzierskiej (pobyty w szpitalu), zawieszono pracę zespołu.



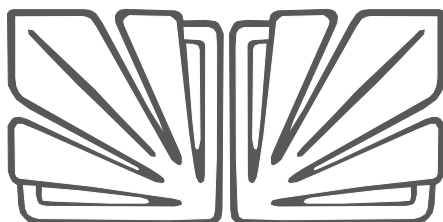
Zbójnicki

Po przekształceniu, powstał 60 osobowy chór szkolny, wykonujący wiązanekę pieśni ludowych z regionu Łącka. Kierownikiem chóru został Kazimierz Nowak.

Kończąc wspomnienia o szkolnym zespole, który dał początek zespołowi pieśni i tańca „Małe Łącko”, należy uzmysłwić sobie o zbliżającym się jubileuszu 55 lecia jego powstania. Ileż to czasu minęło, a pamięć i wspomnienia wciąż wracają.

Chciałoby się powtórzyć słowa znanego górala:

„Ciurcy woda w potoku i leci w doliny, obmywając drobne skałki, leci i nie wraca się – tak samo z czasem”.



Konwencja o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności, sporządzona w Rzymie 4 listopada 1950 r. i ratyfikowana przez Polskę 15 grudnia 1992 r. (Dz.U. z 1993 r. Nr 61, póź. 284), formułuje w art. 6 prawo rzetelnego procesu sądowego, tj. „sprawiedliwego i publicznego rozpatrzenia sprawy w rozsądnym terminie przez niezawisły i bezstronny sąd”. Prawo każdego do sprawiedliwego i jawnego rozpatrzenia sprawy bez nieuzasadnionej zwłoki przez właściwy, niezależny, bezstronny i niezawisły sąd gwarantuje w art. 45 Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej. O tym, czy i w jakim stopniu prawo to jest realizowane decydują przepisy ustaw i aktów wykonawczych regulujące organizację sądów, postępowanie przed nimi oraz status prawny sędziów.

### **Organizacja wymiaru sprawiedliwości**

I. Sądy i Trybunały są władzą odrębną i niezależną od innych władz (art. 173 Konstytucji). Tymi innymi władzami są, zgodnie z monteskiuszowskim trójpodziałem władz, władza ustawodawcza i władza wykonawcza<sup>1</sup>. Trybunały – Trybunał Konstytucyjny i Trybunał Stanu – jakkolwiek wykonują ładzę sądowniczą, nie sprawują wymiaru sprawiedliwości. Wbrew dość rozpowszechnionemu przekonaniu (także niektórych polityków i przedstawicieli mediów), organami wymiaru sprawiedliwości nie są też ani prokuratura, ani – tym bardziej – policja. Wymiar sprawiedliwości sprawują w Rzeczypospolitej Polskiej wyłącznie: Sąd Najwyższy, sądy powszechne, sądy administracyjne i sądy wojskowe (art. 175 ust. 1 Konstytucji), które wydają wyroki w jej imieniu. Sądy powszechne sprawują wymiar sprawiedliwości we wszystkich sprawach z wyjątkiem spraw ustawowo zastrzeżonych dla właściwości innych sądów (art. 177 Konstytucji). Z tego też powodu sądy administracyjne i sądy wojskowe nazywane bywają sądami szczególnymi.

II.1. Sądy administracyjne sprawują wymiar sprawiedliwości przez kontrolę działalności administracji publicznej oraz rozstrzyganie sporów kompetencyjnych i o właściwość między organami samorządu terytorialnego, samorządowymi kolegiami odwoławczymi, a także między tymi organami a organami administracji rządowej.<sup>2</sup> Kontrola działalności administracji publicznej obejmuje orzekanie w sprawach skarg na: decyzje administracyjne, postanowienia wydane w postępowaniu administracyjnym i w postępowaniu egzekucyjnym i zabezpieczającym, inne akty i czynności z zakresu administracji publicznej, pisemne interpretacje przepisów prawa podatkowego wydawane w indywidualnych sprawach, akty prawa miejscowego organów jednostek samorządu

---

<sup>1</sup> Pisałam o tym szerzej w Almanachu Łąckim z 2005 r.

<sup>2</sup> Por. ustawa z dnia 25 lipca 2002 r. Prawo o ustroju sądów administracyjnych (Dz.U. Nr 153, poz. 1269 ze zm.)

terytorialnego i terenowych organów administracji rządowej, inne akty organów jednostek samorządu terytorialnego i ich związków, akty nadzoru nad działalnością organów jednostek samorządu terytorialnego oraz na bezczynność organów.

Sądowe postępowanie administracyjne jest dwuinstancyjne. W pierwszej instancji orzekają wojewódzkie sądy administracyjne, w instancji drugiej – Naczelny Sąd Administracyjny (NSA). Wojewódzki sąd administracyjny tworzy się dla jednego lub większej liczby województw (np. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Krakowie utworzony został dla województwa małopolskiego). Na wniosek Prezesa NSA, Prezydent w drodze rozporządzenia tworzy i znosi wojewódzkie sądy administracyjne, ustala ich siedziby i obszar właściwości. Wojewódzkie sądy administracyjne dzielą się na wydziały, które tworzy i znosi Prezes NSA. W skład wojewódzkiego sądu administracyjnego wchodzi: jego prezes i wiceprezes (wiceprezesi) oraz sędziowie. Regulamin urzędowania wojewódzkich sądów administracyjnych, określający w szczególności wewnętrzną ich organizację, porządek funkcjonowania, tryb wyznaczania składów orzekających, ustala Prezydent RP w drodze rozporządzenia.

Naczelny Sąd Administracyjny sprawuje nadzór nad działalnością wojewódzkich sądów administracyjnych w zakresie orzekania. W szczególności rozpoznaje środki odwoławcze od orzeczeń tych sądów i podejmuje uchwały wyjaśniające zagadnienia prawne. Nadto rozpoznaje inne sprawy należące do jego właściwości na mocy ustaw odrębnych. Naczelny Sąd Administracyjny ma siedzibę w Warszawie. Na jego czele stoi Prezes, który kieruje pracami Sądu i reprezentuje go na zewnątrz. Naczelny Sąd Administracyjny dzieli się na Izby: Finansową, Gospodarczą oraz Ogólnoadministracyjną. Pierwsza z nich sprawuje nadzór nad orzecznictwem wojewódzkich sądów administracyjnych w sprawach zobowiązań podatkowych i innych świadczeń pieniężnych, do których mają zastosowanie przepisy podatkowe oraz o egzekucji świadczeń pieniężnych, Izba Gospodarcza – w sprawach działalności gospodarczej, ochrony własności przemysłowej, budżetu, dewizowych, papierów wartościowych, bankowości, ubezpieczeniowych, ceł, cen, stawek taryfowych oraz opłat, zaś Izba Ogólnoadministracyjna – we wszystkich pozostałych sprawach, np. z zakresu budownictwa i nadzoru budowlanego, zagospodarowania przestrzennego, gospodarki wodnej, ochrony środowiska, rolnictwa, leśnictwa, zatrudnienia, ustroju samorządu terytorialnego, gospodarki. Izby dzielą się z kolei na wydziały, które, za zgodą Kolegium, tworzy i znosi Prezes NSA. Regulamin wewnętrznego urzędowania Naczelnego Sądu Administracyjnego uchwała Zgromadzenie Ogólne jego Sędziów.

2. Sądy wojskowe sprawują wymiar sprawiedliwości w Siłach Zbrojnych w sprawach karnych, a także orzekają w innych sprawach przekazanych do ich właściwości ustawami odrębnymi.<sup>3</sup> Sądownictwo wojskowe zostało więc wyodrębnione ze względów podmiotowych, a nie przedmiotowych. Sądami wojskowymi są wojskowe sądy okręgowe (w Warszawie i w Poznaniu) oraz wojskowe sądy garnizonowe (np. Wojskowy Sąd Garnizonowy w Krakowie został utworzony dla województw małopolskiego, śląskiego i świętokrzyskiego). Sądy wojskowe tworzy i znosi oraz określa ich siedziby

<sup>3</sup> Por. ustawa z dnia 21 sierpnia 1997 r. Prawo o ustroju sądów wojskowych (Dz.U. Nr 117, poz. 753 ze zm.).

i obszary właściwości Minister Obrony Narodowej w porozumieniu z Ministrem Sprawiedliwości, po zasięgnięciu opinii Krajowej Rady Sądownictwa. Organami sądów wojskowych są ich prezesi, a wojskowych sądów okręgowych także kolegia. Nadzór nad działalnością sądów wojskowych w zakresie orzekania sprawuje Sąd Najwyższy; w zakresie organizacji i działalności administracyjnej – Minister Sprawiedliwości, a w zakresie czynnej służby wojskowej żołnierzy pełniących służbę w sądach wojskowych – Minister Obrony Narodowej. Organizację sądów wojskowych określa oraz ustala regulamin wewnętrzny ich urzędowania, a także liczbę sędziów Minister Sprawiedliwości w porozumieniu z Ministrem Obrony Narodowej. Organem samorządu sędziowskiego jest Zgromadzenie Ogólne Sędziów Sądów Wojskowych. Do jego zadań należy, między innymi, przedstawianie Krajowej Radzie Sądownictwa kandydatów na sędziów sądów wojskowych. Wybór członka Krajowej Rady Sądownictwa, członków kolegiów wojskowych sądów okręgowych, rzecznika dyscyplinarnego i jego zastępcy.

3. Sądy powszechne sprawują wymiar sprawiedliwości w zakresie nienależącym do sądów administracyjnych, sądów wojskowych oraz do Sądu Najwyższego. Sądownictwo powszechne tworzą sądy rejonowe, sądy okręgowe oraz sądy apelacyjne.<sup>4</sup> Nadzór nad sądami powszechnymi w zakresie orzekania sprawuje Sąd Najwyższy, a w zakresie działalności administracyjnej – Minister Sprawiedliwości. Sąd rejonowy tworzy się dla jednej lub większej liczby gmin (np. Sąd Rejonowy w Nowym Sączu utworzony został dla m. Nowy Sącz oraz gmin: Chełmiec, Gródek nad Dunajcem, Kamionka Wielka, Korzenna, Łabowa, Łososina Dolna, Nawojowa, Podegrodzie, Stary Sącz), sąd okręgowy – dla obszaru właściwości co najmniej dwóch sądów rejonowych (np. Sąd Okręgowy w Nowym Sączu utworzony został dla Sądów Rejonowych w: Gorlicach, Limanowej, Muszynie, Nowym Sączu, Nowym Targu, Zakopanem), a sąd apelacyjny – dla obszaru właściwości co najmniej dwóch sądów okręgowych (np. Sąd Apelacyjny w Krakowie został utworzony dla Sądów Okręgowych w Kielcach, Nowym Sączu i Tarnowie).

Sądy rejonowe dzielą się na wydziały: cywilny, karny, rodzinny i nieletnich, pracy oraz ksiąg wieczystych. W sądzie rejonowym mającym siedzibę w mieście będącym siedzibą sądu okręgowego, w którym jest utworzony wydział ubezpieczeń społecznych albo wydział pracy i ubezpieczeń społecznych, w miejsce wydziału pracy tworzy się wydział pracy i ubezpieczeń społecznych, a także wydział gospodarczy. W sądzie rejonowym mającym siedzibę w mieście na prawach powiatu można utworzyć wydział pracy i ubezpieczeń społecznych oraz wydział gospodarczy. W sądach rejonowych mogą być tworzone – w ich siedzibach lub poza ich siedzibami – sądy grodzkie jako wydziały lub wydziały zamiejscowe sądu rejonowego (np. w obszarze Sądu Okręgowego w Nowym Sączu wydziały grodzkie zostały utworzone we wszystkich sądach rejonowym z wyjątkiem Sądu Rejonowego w Muszynie). Tworzy je i znosi Minister Sprawiedliwości w drodze rozporządzenia. Sądy grodzkie rozpoznają w pierwszej instancji sprawy: (1) o wykroczenia; (2) o wykroczenia i przestępstwa skarbowe; (3) o przestępstwa ścigane z oskarżenia prywatnego; (4) o pozostałe przestępstwa podlegające rozpoznaniu w postępowaniu uproszczonym; (5) cywilne podlegające rozpoznaniu w postępowaniu

---

<sup>4</sup> Por. ustawa z dnia 27 lipca 2001 r. Prawo o ustroju sądów powszechnych (Dz.U. Nr 98, poz. 1070 ze zm.).

uproszczonym oraz dotyczące depozytów sądowych i przepadku rzeczy. Orzekają więc w sprawach karnych i cywilnych mniejszej wagi.

Sądy okręgowe dzielą się na wydziały: cywilny, karny, penitencjarny i nadzoru nad wykonywaniem orzeczeń karnych, pracy, ubezpieczeń społecznych oraz gospodarczy. Mogą w nich być tworzone wydziały pracy i ubezpieczeń społecznych (np. w Sądzie Okręgowym w Nowym Sączu utworzony został Wydział Pracy i Ubezpieczeń Społecznych – do spraw z zakresu prawa pracy dla obszaru właściwości Sądów Rejonowych w Muszynie i Nowym Sączu oraz do spraw z zakresu ubezpieczeń społecznych z obszaru właściwości wszystkich sądów rejonowych). W sądach okręgowych położonych w miejscowościach, w których znajdują się oddziały Instytutu Pamięi Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Minister Sprawiedliwości może utworzyć, w drodze zarządzenia, wydziały lustracyjne. W Sądzie Okręgowym w Warszawie jako jego wydziały działają: sąd ochrony konkurencji i konsumentów, sąd wspólnotowych znaków towarowych i przemysłowych oraz odrębna jednostka organizacyjna do spraw rejestrowych.

Sądy apelacyjne dzielą się na wydziały: cywilny, karny oraz pracy i ubezpieczeń społecznych. Tworzy i znosi sądy apelacyjne oraz ustala dla nich siedziby i obszary właściwości Minister Sprawiedliwości po zasięgnięciu opinii Krajowej Rady Sądownictwa.

4. Organami wszystkich sądów powszechnych są ich prezesi, a w sądach okręgowych i apelacyjnych, w wojewódzkich sądach administracyjnych i w wojskowych sądach okręgowych – także kolegium. W zakresie finansowym i gospodarczym organem sądu rejonowego jest, podległy służbowo prezesowi sądu, kierownik finansowy sądu, a sądu okręgowego i apelacyjnego – dyrektor danego sądu. Prezes kieruje sądem i reprezentuje go na zewnątrz. Jest zwierzchnikiem służbowym sędziów danego sądu. Pełni czynności z zakresu administracji sądowej. Prezes sądu okręgowego wykonuje czynności administracji sądowej w stosunku do sądów rejonowych na obszarze właściwości sądu okręgowego oraz sprawuje nadzór nad działalnością tych sądów. Tę samą kompetencję w stosunku do sądów okręgowych mają prezesi sądów apelacyjnych. Kolegium jest organem opiniodawczo-stanowiącym. Opiniuje, między innymi, kandydatury na stanowiska sędziów, do pełnienia funkcji przewodniczących wydziałów, rzecznika prasowego czy projekty planu finansowego. Do uprawnień stanowiących kolegium należą np. ustalanie, na wniosek prezesa, podziału czynności w sądzie, wybór zastępcy rzecznika dyscyplinarnego.

Organami samorządowymi w sądach są zgromadzenia ogólne sędziów. Zgromadzenie ogólne sędziów sądu apelacyjnego tworzą sędziowie tego sądu w stanie czynnym. Zgromadzenie ogólne sędziów okręgu tworzą sędziowie sądu okręgowego oraz wybrani w tajnym głosowaniu delegaci sędziów sądów rejonowych działających na obszarze właściwości sądu okręgowego w liczbie 2/3 liczby sędziów sądu okręgowego. Jeżeli liczba sędziów przekraczałaby 150, w miejsce zgromadzenia ogólnego sędziów tworzy się zgromadzenie ich przedstawicieli. Zgromadzenie sądu apelacyjnego przedstawia Krajowej Radzie Sądownictwa kandydatów na stanowiska sędziów, opiniuje kandydatury na prezesa, wybiera członków kolegium, kandydata na rzecznika dyscyplinarnego.



5. Sąd Najwyższy: 1) sprawuje wymiar sprawiedliwości przez zapewnienie w ramach nadzoru zgodności z prawem oraz jednolitości orzecznictwa sądów powszechnych i wojskowych poprzez rozpoznawanie kasacji oraz innych środków odwoławczych, podejmowanie uchwał rozstrzygających zagadnienia prawne, rozstrzyganie innych spraw określonych w ustawie; 2) rozpoznaje protesty wyborcze oraz stwierdza ważność wyborów do Sejmu i Senatu oraz wyboru Prezydenta, a także ważności referendum ogólnokrajowego i referendum konstytucyjnego; 3) rozpoznaje protesty wyborcze w wyborach do Parlamentu Europejskiego; 4) opiniuje projekty ustaw i innych aktów normatywnych, na podstawie których orzekają i funkcjonują sądy, a także innych ustaw w zakresie, w którym uzna to za celowe; 5) Wykonuj inne czynności określone w ustawie.<sup>5</sup> Jego siedzibą jest Warszawa.

Sąd Najwyższy (SN) dzieli się na cztery Izby: 1) Cywilną, 2) Karną, 3) Pracy, Ubezpieczeń Społecznych i Spraw Publicznych oraz 4) Wojskową. Wewnętrzną organizację, szczegółowy podział spraw między izby oraz zasady wewnętrznego postępowania określa regulamin uchwalany przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów Sądu Najwyższego. Organami Sądu Najwyższego są: Pierwszy Prezes, Prezesi, Zgromadzenie Ogólne, zgromadzenie sędziów izby oraz Kolegium. Pierwszego prezesa powołuje Prezydent spośród dwu kandydatów wybranych spośród sędziów Sądu Najwyższego w stanie czynnym i przedstawionych mu przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów. Na wniosek Pierwszego Prezesa Prezydent powołuje także Prezesów SN. Zgromadzenie Ogólne Sędziów dokonuje, między innymi, wyboru kandydatów na sędziów, wyboru dwu kandydatów na stanowisko Pierwszego Prezesa i przedstawia ich Prezydentowi, dwu członków Krajowej Rady Sądownictwa i uchwała regulamin tych wyborów. Podejmuje uchwały w innych ważnych sprawach dotyczących Sądu Najwyższego, rozpatruje i przyjmuje projekt informacji przedstawianej przez Pierwszego Prezesa Prezydentowi, Parlamentowi i Krajowej Radzie Sądownictwa. Zgromadzenie sędziów izby jest organem, co do zasady, opiniodawczym. Opiniuje np. kandydatów na stanowiska sędziów. Poza tym, omawia i przyjmuje projekt informacji o działalności izby i istotnych problemach wynikających z orzecznictwa, dokonuje wyboru dwóch członków oraz zastępcy członka Kolegium SN. Kolegium przygotowuje stanowisko w sprawach związanych z działalnością Sądu Najwyższego i współdziała z Pierwszym Prezesem w zapewnieniu prawidłowego funkcjonowania Sądu.

Pozycja ustrojowa Sądu Najwyższego jest szczególna. Pierwszy Prezes składa corocznie informację o działalności Sądu Najwyższego oraz o wynikających z niej istotnych problemach Prezydentowi i Krajowej Radzie Sądownictwa, a nadto Sejmowi i Senatowi. W sprawie informacji nie przeprowadza się w Parlamencie głosowania, co dowodzi niezależności Sądu Najwyższego od władzy ustawodawczej. Przedstawia on także właściwym organom uwagi ostwierdzonych nieprawidłowościach lub lukach w prawie, których usunięcie jest niezbędne dla zapewnienia spójności polskiego systemu prawnego. Projekt dochodów i wydatków Sądu Najwyższego, w brzmieniu uchwalonym przez Kolegium tego Sądu, minister właściwy do spraw finansów

---

<sup>5</sup> Por. ustawa z dnia 23 listopada 2002 r. o Sądzie Najwyższym (Dz.U. Nr 240, poz. 2052 ze zm.).

publicznych włącza do projektu budżetu państwa, a w zakresie wykonania budżetu Pierwszemu Prezesowi przysługują uprawnienia ministra właściwego do spraw finansów publicznych. Zadania związane z pełnieniem przez Pierwszego Prezesa czynności w zakresie funkcjonowania Sądu Najwyższego wykonuje Kancelaria, którą kieruje jej Szef, a zadania z zakresu pełnienia funkcji związanych z pieczęcią nad zgodnością z prawem i jednolitością orzecznictwa oraz oceną spójności i jednolitości prawa stosowanego przez sądy wykonuje Biuro Studiów i Analiz.

III. 1. W rezultacie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej polskie sądy są – od 1 maja 2004 r. – zobowiązane do stosowania bezpośrednio skutecznych przepisów prawa wspólnotowego i odmowy stosowania przepisów prawa krajowego (wewnętrznego) sprzecznych z tymi przepisami. Nadto mają obowiązek stosowania (wykładni) prawa wewnętrznego zgodnie nie tylko z literą, ale i duchem prawa wspólnotowego. Nie mogą jednak rozstrzygać o ważności aktów wspólnotowych. Dlatego w zakresie wykonywania przez sądy polskie prawa wspólnotowego swoistym, niejako zewnętrznym, organem wymiaru sprawiedliwości jest Europejski Trybunał Sprawiedliwości z siedzibą w Luksemburgu. Trybunał funkcjonuje jednak poza systemem instancyjnym sądów. Nie jest to więc sąd instancyjnie najwyższy. Nie jest przeto uprawniony do kontroli prawidłowości orzeczeń sądów polskich. Ale do wyłącznej kompetencji Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości (ETS) należą sprawy dotyczące wykładni i ważności przepisów wspólnotowych. Art. 234 Traktatu o ustanowieniu Wspólnoty Europejskiej<sup>6</sup> przewiduje w związku z tym instytucję pytań prawnych kierowanych do ETS przez sądy i trybunały krajowe. Celem postępowania przewidzianego w powołanym przepisie jest zapewnienie jednolitej wykładni i stosowania prawa wspólnotowego. Obowiązek zadania Trybunałowi pytania co do ważności lub znaczenia przepisu wspólnotowego ma sąd „najwyższy” w danej sprawie, czyli sąd, którego orzeczenie jest ostateczne, a więc takie orzeczenie, od którego nie przysługują środki prawne. Sąd zadający pytanie jest związany odpowiedzią Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości.<sup>7</sup>

2. Inną, różną od Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, instytucją międzynarodową sprawującą władzę sądowniczą jest Europejski Trybunał Praw Człowieka z siedzibą w Strasburgu. Trybunał ten orzeka w sprawach dotyczących interpretacji i stosowania, wspomnianej na początku, Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności (zgodnie z jej art. 32). Stronami postępowania przed Trybunałem Praw Człowieka mogą być państwa, które są stronami Konwencji. Jednak Trybunał rozpatruje przede wszystkim skargi indywidualne obywateli skierowane przeciwko państwu. Przedmiotem skargi może być np. naruszenie prawa do sądu przez przewlekłość postępowania czy naruszenie prawa do wolności i bezpieczeństwa osobistego przez nieuzasadnione tymczasowe aresztowanie.

<sup>6</sup> Traktat „rzymski” z 25 marca 1957 r. (Dz.U. z 2004 r. Nr 90, poz. 864).

<sup>7</sup> Dla porządku trzeba dodać, że pytania wstępne mogą być kierowane – w pewnym zakresie – także do Sądu Pierwszej Instancji, utworzonego decyzją Rady Europejskiej (obecnie: Rady Unii Europejskiej) z 24 października 1988 r.

Część I



Stanisław Turek

Kiedy byłem małym chłopcem marzyłem o bezludnych wyspach z Robinsonem Kruzoem. Widocznie czego się bardzo pragnie staje się rzeczywistością.

Pewnej niedzieli z przedsiönka kościoła a Ottoway podjąłem ulotkę „Palms” (Paulian Association Lap Missionary Secretariat) w sprawie rekrutacji wolontariuszy w charakterze świeckich misjonarzy. Przeczytałem, przemyślałem i złożyłem podanie. Po rekomendacji księdza dr. Mariana Szablewskiego i przeszkoleniu w ośrodku Palms w Sydney wyruszyłem w długą pięcioletnią pasjonującą podróż – na Wyspy Pacyfiku.

Nie sposób opisać wrażeń oraz doświadczeń tych lat w jednym artykule –

wspomnę tylko o Wyspach Archipelagu Samoa. Być może artykułem tym zainteresuję innych spośród naszej Polonii do pracy w charakterze świeckiego misjonarza. Na misjach mogą pracować zarówno mężczyźni jak i kobiety w różnych zawodach.

Na bezkresnych wodach Oceanu Spokojnego jest tysiące atoli i wysp. Jedną z nich jest Western Samoa. 100 kilometrów dalej Amerykańska Samoa. Podzielone politycznie zachowały jednak ten sam język, zwyczaje, rytuały plemienne i dzięki temu zachowały pierwotne piękno i urok. Samoanie nie bez powodu dumni są ze swoich Wysp. Uważają Samoa za kolebkę innych plemion Polinezji.

Tradycyjne wierzenia, iż cokolwiek dzieje się, ma przyczyny w Wielkim Duchu oraz historia stworzenia podobna do Księgi Genesis, jako też legendarne prociwo, że posłannicy boga Tagaloa przybędą z nieba sprawiło, że Samoanie byli dobrze przygotowani do przyjęcia chrześcijaństwa. Pierwszych misjonarzy przybyłych w 1830 r. z London Missionary Society Samoanie określili słowem „palagi”, to znaczy ludzie, którzy przybyli z nieba. Od tego czasu kto może usiłuje zbawiać mieszkańców Polinezji. W ślad za misjonarzami osiedlali się Europejczycy w celach handlowych. Rywalizacja o wpływy Wielkiej Brytanii, U.S.A. i Niemiec, zakłóciła na długi czas spokój Wysp. Jak powiedział jeden z Samoan: „Trzy duże psy warczały na siebie o bardzo małą kość”. Groźny spór rozstrzygnął dopiero 16 marca 1889 r. straszliwy tajfun. W sztormie zginęło 146 marynarzy. W wyniku Rządu Mocarstw traktatem berlińskim w 1889 roku, ustanowiono pełną autonomię dla Samoa.

Jednym z wielu oczarowanych Wyspami był słynny pisarz szkocki R. Louis Stevenson. Zakupił on 1,5 km<sup>2</sup> ziemi w pobliżu stolicy Wyspy Upolu Apii i wybudował w 1890 roku dom nazwany Wailima. W okresie nieporozumień, przekonywał rządy, że Samoanie powinni rządzić się sami, zgodnie z ich zwyczajami, dzięki czemu zyskał serca Samoan, a w dowód sympatii i respektu nadali mu tytuł „Tusitala” (taller of tales). Po śmierci zaś, zgodnie z życzeniem Stevensona, Samoanie uroczyście wynieśli jego ciało na wzgórze, skąd jest wspaniały widok na Apię.

Kokos upada do Oceanu, woda niesie go setki kilometrów do pustych atoli – tam zapuszcza korzenie, rośnie jedna, druga palma i tak powstaje wysepka – wyspa. Kiedy szedłem przez wioskę Salani, ścinano drzewo kokosowe.

Niektórzy obok płakali, a jeden z nich wziął do ręki kokos, ucałował i rzekł: „Bez kokosu nie ma tu życia. Ono karmi, okrywa, patrzy na nas. Ma oczy i usta – żyje z nami od kolebki”.

Mokro, wilgotno – tropikalne gorąco. Popijając wodę ze strumyków, filtrowaną własnymi zębami, zapuszczałem się w odległe wioski. W każdej wiosce, z wodzem wybieranym przez mieszkańców wioski, – zwanym matai, uzgadniałem wykonanie prac przy malowaniu, dekorowaniu lokalnych kościółków. W jednym malowałem obraz, w innym naprawiałem sztuczne huraganem witraże, żyjąc w wiosce życiem Samoan. Jako biały, w zapadłych wioskach, gdzie czas zatrzymał się dla mnie, budziłem zainteresowanie nie mniejsze, niż oni dla mnie. Samoanie, mężczyźni, są małowolni, często zadumani, poważni, natomiast Samoanki, są kokieteryjne, ładne i bardzo ciekawskie. Nie stroją się w sztuczną biżuterię, natomiast znakomicie ozdabiają włosy i szyje, kwiatami hibiskusa. Kwiat ten nie tylko leczy i zdobi, ale ma też swoją wymowę. Za prawym uchem znaczy, że jest stanu wolnego, za lewym, że jest zajęta. Gdy czują głód, sięgają po owoc, podobnie z miłością.

Owocem tego jest wiele panięskich dzieci, które zwyczajowo adoptują bezdzietne małżeństwa, jako ubezpieczenie i pomoc na starość, gdyż dzieci tu, bardzo dbają o rodziców, oraz uczucia drugiej osoby. Kiedy wychodzą za mąż, zdolne są do wielkich poświęceń.

Kiedy chciałem rozmawiać z matai, żona budziła go z drzemki, delikatnie łaskocząc w stopy, a gdy miał twarde stopy od chodzenia boso, to żona lekko poklepywała go po kolanie.

Podczas rozmowy zwykle siedziały milczące, a wolno im było wstać i rozmawiać za pozwoleniem czy skinieniem męża.

Pewnego dnia w odległych górach, spotkałem samotnego Samończyka, ukaranego przez matai, wygnaniem z wioski. Na moje pytanie, kiedy wróci, odpowiedział, że nie czuje się samotny, bo rozmawia z Duchem Wszechświata, z górami, kwiatami, zwierzętami. I tak poznałem prawdziwego pustelnika. Rzekomo „prymitywni”, mają zdrowy kodeks moralny, z wyjątkiem co do cudzej własności, zwyczajowo traktując, co twoje to moje.

Tego dnia matai wyznaczył złodziejowi karę, polegała ona na tym, że pod dom winowajcy, przyszła cała rodzina poszkodowanego i tak długo się „gościli”, aż wyjedli wszystkie zapasy. No i jak tu być złodziejem! Ale czy nie lepszy to zwyczaj, niż osadzanie winnych w więzieniu, w dodatku na koszt podatników?

W Lalomanga zastała mnie noc. Piękno nocy tropikalnej zaostrza wrażliwość, a cóż dopiero kiedy z oddali dochodzi śpiew i muzyka, na tradycyjnych instrumentach. Tego nie da się opisać, to trzeba przeżyć! Taniec, śpiew, muzyka wypełnia duszę mieszkańców i stanowi ich modlitwę, która ma moc i siłę.

Kiedy w wiosce Latofaga, zostałem zaproszony na ucztę, powiedziano mi, że śpiewają na pożegnanie babci, która za trzy dni ma odejść do krainy przodków. Babcia smacznie żuła betel, śpiewała i wydawało mi się mało prawdopodobne, że odejdzie, a jednak byłem świadkiem jej odejścia po trzech dniach. Leżała wśród drzew z uśmiechem zastygłym na twarzy, pogodna i zapewne radośnie witana w Krainie Duchów. To i wiele podobnych zjawisk budziło moje zainteresowanie. Odpowiedzią lokalnego szamana było „duch jest we wszystkim co żyje i po śmierci ciała powraca do źródła, ale wy cywilizowani tego nie rozumiecie, bo zatraciliście instynkt natury, dlatego tak bardzo boicie się śmierci”.

Nie mogąc zrozumieć, pozostało mi tylko otoczyć tajemnicze zjawisko szacunkiem. Dziś inaczej patrzę na to co mnie otacza, nauczyłem się żyć i doceniać najdrobniejsze radości.

Samoańska wioska, to kilkadziesiąt prostych chat, zbudowanych na palach, pokrytych dachem z liści palmowych. Przewiewnie i zdrowo. Jedyne umeblowanie, to skrzynia i maty na podłodze do spania, obok chaty palenisko. Kiedy jest deszcz lub wichura, opuszczają podwiązane pod dachem maty, z traw tropikalnych drzew.



*Przed nowo zbudowaną katedrą na Samoa z Kardynałem Polinezji PIO TAOFINU*

Często obok chat na widocznym miejscu, są ozdobione grobowce z kamienia, służące nie tylko jako miejsce spoczynku doczesnych szczątków, ale także do suszenia kopry, a nawet jako stół do spożywania posiłków. Tradycja utrzymuje, że duchy zmarłych uczestniczą w życiu codziennym, dlatego mają być blisko. Sprawy duchów i żywych przeplatają się niemal w każdym aspekcie życia Samończyków, są dziećmi natury.

Na Western Samoa, poznałem młodego, polskiego misjonarza ks. Pawła Kowalika salezjanina, oraz Basię i Marka Polkowskich z synkiem. Marek pracował przez cztery lata jako ginekolog w szpitalu w Apii, w ramach programów ONZ, Basia kolekcjonowała muszle i służyła Samończykom pomocą, obecnie mieszkają w Warszawie. Daleko w Górach Upolu, wśród bujnej roślinności tropikalnej, mieszka pani Marianna Wójtowicz, z synem i córką. Dzięki niej na Samoa, dzieci w szkole śpiewają polskie piosenki, a na uroczystościach młodzież tańczy poloneza. Czy wiecie jakie to wzruszenie?

Marianna jest dobrym ambasadorem kultury polskiej na dalekich Wyspach Polinezji. Spośród wielu zaprzyjaźnionych Samończyków jak Filo, Tina, Palae, Koreti,

szczególnie sobie cenię serdeczną przyjaźń z kardynałem Pio Taofinu, u. Kardynał jest Samoanczykiem z krwi i kości, osobistym przyjacielem, naszego Ojca Świętego Jana Pawła II, to sprawia, że my Polacy, mamy u Niego, szczególne względy. Od roku trwają przygotowania na Western Samoa do spotkania z papieżem Janem Pawłem II. Na tę okoliczność kończy się budowę świątyni ekumenicznej, architekturą nawiązującą do samońskiej chaty, zwanej fala. Opracowałem projekt dekoracji świątyni ekumenicznej, ale z braku funduszy prace zostały czasowo wstrzymane.

Luty 1998 roku „Przegląd Australijski”

Ciąg dalszy nastąpi.

\*\*\*

\*Stanisław Turek urodził się w Łącku w 1935 roku, najstarszy z dziesięciorga rodzeństwa, odkąd tylko nauczył się czytać, rozczytywał się w książkach podróżniczych. Ukończył Szkołę Podstawową w Łącku i ze wszystkich przedmiotów, najbardziej lubił geografii i historię, marzył o dalekich podróżach, pochłaniał też jego wyobraźnię „tajemniczy świat” związany z kościołem. Został ministrantem i gorliwie codziennie służył do mszy przez całe lata. Po skończeniu szkoły, wówczas siedmioklasowej, wiedział, że marzenia o zostaniu nauczycielem nie spełnią się, rodziców nie było stać na posłanie go, do gimnazjum w Nowym Sączu i opłacenie stancji. Pracował tylko ojciec, jako stróż w szkole, a było ich w tym czasie już sześcioro. Jeszcze przed wakacjami, kończąc szkołę, przeczytał ogłoszenie o naborze kandydatów do Małego Seminarium Duchownego Księży Pallotynów w Wadowicach. Po skompletowaniu wszystkich dokumentów, w tym opinii księdza proboszcza Józefa Puta, zostaje dopuszczony do egzaminów, które zdaje, i zostaje przyjęty. Dostał numer 605, który musiał wyszyć na wyprawce (bielizna i ubranie), którą z wielkim wysiłkiem rodzice skompletowali. Wraz z nim do Seminarium dostał się także Jan Szczepaniak. Był rok 1950, rok od którego czuje się Robinsonem, podróżuje więc już ponad 56 lat.

Stanisław nie został księdzem – misjonarzem, ale nauka w seminarium przydała się w dalszym życiu, przez jakiś czas nauczał religii w Bieszczadach, które zwiedził wzdłuż i wszerz, ale „wołał” go Świat. Opuścił więc Polskę i zaczął zwiedzać Europę, potem Stany Zjednoczone aż wreszcie w latach 80 XX wieku, dotarł do Australii, gdzie był przez pięć lat świeckim misjonarzem i mieszka do dzisiaj. W jednym z ostatnich listów, jaki napisał do mnie, w lutym 2007 roku, zwierzył się, że w tym roku odwiedzi Łącko. Czekamy i serdecznie zapraszamy do Redakcji Almanachu i Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej, którego członkiem został pan Stanisław w styczniu br.

Jadwiga Jastrzębska

Na podstawie materiałów przesłanych przez pana Stanisława Turka min. „ŁĄCKO – Kronika Rodzinna”, rozdział pierwszy lata 1935 – 1950, zapamiętane i spisane przez najstarszego, oraz rozmowy z młodszą siostrą Małgorzatą Bieniek, z domu Turek.

Po rozbiciu placówki ZWZ na terenie Łącka przez aresztowania z 28.II.1941 r., w Łącku nastąpił pewien zastój w działalności podziemia. Kolejnym etapem wojskowej konspiracji na terenie Łącka było zorganizowanie placówki w drugiej połowie 1941 r. przez komendanta obwodu Nowy Sącz – Stanisława L. Sławika. Na czele placówki stanął Władysław Wierzbowski, pracownik majątku w Łososinie Dolnej. Placówka ta nie odegrała żadnej roli, bowiem jej komendant, z uwagi na dużą odległość, nie miał możliwości rozwinięcia działalności.

Latem 1942 r. działacze limanowskiej Polskiej Organizacji Zbrojnej, zorganizowali placówkę w Kamienicy, w skład której weszła zachodnia część gminy Łącko. Placówkę zorganizowali: Władysław Wietrzny „Dęboróg” i Stanisław Leszko „Olcha”, a jej komendantem został Jan Tokarczyk, ps. „Baca” – nauczyciel z Zabrzeży. W jakiś czas potem placówka ta została zreorganizowana, a Tokarczyk przystąpił do tworzenia samodzielnej placówki AK „Sobel” w Zarzeczcu. Pomagali mu w tym miejscowi ludzie, przygotowywali broń, amunicję i inny konieczny ekwipunek oraz mundury. Werbował młodych ludzi z Zabrzeży i Łącka, wśród których znalazłem się i ja, współwięźni Gestapo i jego uczeń szkolny. W drugiej połowie 1943 r., chyba miało to miejsce, ok. 18-20.IX. Tokarczyk przystąpił do zorganizowania obozu w Zarzeczcu pod Soblem.

Przy pomocy gajowego, Tomasza Chrobaka, wybrał miejsce na obóz i przystąpił do szkolenia młodych żołnierzy. W skład placówki wchodził:

Jan Tokarczyk ps. „Baca” - dowódca, Antoni Ćwikowski „Daniel” - z-ca dowódcy Lucjan Ziarnik „Knieja”, Stanisław Ćwikowski „Groźny”, Antoni Gonciarz „Jurek”, Michał Gromala „Granit”, Józef Drabik „Murzyn”, Michał Piksa „Sosna”, Jan Kurnyta „Szczerba”, Jan Urbaniak „Gwóźdź”, Władysław Klag „Góra”, Stanisław Bogunki „Grot”, Zbigniew Frankowicz „Błyskawica”, Wojciech Kozera „Mikrus”, Stanisław Ptaszek „Wróbel”, Józef Stanisław „Szczipak”, Alfred Wysopal „Konstanty”, Jerzy Relinger „San” - uciekinier z Przemyśla, Jan Sopata „Smyk”, Zdzisław Potapski „Piorun”, Jan Faron „Huragan”, Jan Kwit „Szymek”. Józef Zbozeń „Żbik”, Wojciech Grabarz „Motor”, Roman Peszke „Romek”, Tadeusz Maksajda „Maks”, Adam Trojanowski „Waldek”, Jan Nowak „Jastrząb”, Jan Nowacki „Topola”, Marian Nowacki „Szakał”, Jan Gromada „Tygrys”, Gajowy „Marek”, Tomasz Chrobak „Gajowy”.

Członkowie placówki „Sobel”, poza obozem:

Kazimierz Faron, Stanisław Duda „Kruk”, Jan Kucia, Józef Gromada, Kazimierz Gromala, Jan Janczara „Orzeł”, Jan Gromala, Antoni Janczura „Jodła”, mgr. Franciszek Ćwikowski, Józef Ciężkowski, Józefina Kurzeja – Marek „Gałązka”, Zofia Smajkiewicz „Zocha”, Jerzy Białkowski, Eugeniusz Piksa „Harnaś”, Antoni Bober „Komar”, Tomasz

Kucharski „Derkacz”, Jan Leśniak „Klin”, Stanisława Kuziel, Helena Sobolewska, Maria Sobolewska, Klotylda Radomska, Antonina Rakuszewska.

Pracownicy Urzędu Gminy Łącko: Białkowski, Piksa, Kucharski i Leśniak, zostali zaprzysiężeni przez Jana Tokarczyka i zobowiązani do specjalnej ochrony placówki, udzielania informacji o ruchach żandarmerii niemieckiej, a w szczególności placówki niemieckiej w Jazowsku i jej szefa Sikory. Łącznikiem między placówką w Urzędzie Gminy a obozem wyznaczony został Eugeniusz Piksa „Harnaś”.

Oddział „Bacy” uczestniczył w szeregu akcjach bojowych samodzielnie, np na terenie Słowacji oraz wspólnie z oddziałem „Zawiszy”, np na moście w Kamienicy. W końcu września 1944 r. placówka na rozkaz d-cy I PSP AK została włączona do II kompanii I batalionu AK.

Wiosną 1943 r., na terenie Kiczni zorganizowana została placówka AK, przez Władysława Wietrznego, ps. „Dęboróg” – komendanta placówki wsi Łukowica. Dowódcą placówki został Wincenty Gawron ps. „Niepokój”, „Kowalewski” – artysta malarz, ukrywający się po ucieczce z Oświęcimia. Wybitnym żołnierzem tego oddziału był Ambroży Pietrzak ps. „Słowik”. Na skutek donosu, oddział został całkowicie rozbity aresztowaniami, a „Kowalewski” wyjechał do Warszawy, gdzie doczekał się wyzwolenia.

Z ważniejszych wydarzeń na terenie gminy Łącko, w okresie nasilenia się walki zbrojnej, prowadzonej przez oddziały ZWZ – AK, należy wymienić:

- Likwidacja volksdeutscha Jana Sikory w Jazowska przez oddział „Zawiszy” w dn.17.06.1944 r.
- Walka na moście w Kamienicy dn.8.09.44 r. oddziału 1PSP–AK pod dow. por. „Przyjaciela” – Feliksa Perekładowskiego. Zlikwidowano 30 żandarmów niemieckich z Liengelbachem na czele. W czasie walk zginął kierownik ciężarówki spółdzielni „Rolnik” w Łącku śp. Julian Wojtas. Likwidacja posterunku niemieckiego w Łącku była konieczna, z uwagi na zagrożenie obywateli – członków BCH, zdekonspirowanych w lipcu 1944 r.
- Komendant oddziału BCH „Zyndram” – kpt. Kazimierz Seratowicz – „Syrena”, zlikwidował w dniu 24.09.44 r. współpracownika Sikory, w czasie tej akcji sam zginął z rąk niemieckich.

W dniach 13/14 stycznia 1945 r. miała miejsce ostatnia walka oddziałów 1 PSP AK na Szczawie z przeważającymi, silnie uzbrojonymi oddziałami wojsk niemieckich. W wyniku całodziennej walki oddziały AK, mimo liczebnego osłabienia (zmniejszenie stanu żołnierzy na okres zimy) nie dały się wyprzeć z zajmowanych pozycji. Zginął jeden żołnierz i jeden był ranny po stronie polskiej. Zabitych Niemców oblicza się na kilkadziesiąt ludzi i wielu rannych. W walce pozycyjnej nad tartakiem w Szczawie odznaczył się szczególnie d-ca II kompanii Jan Tokarczyk „Baca”, b. d-ca oddz. „Sobel” w Zarzeczu. Wojska niemieckie wycofały się.

W grudniu 1944 r. Niemcy mieli zamiar dokonać pacyfikacji Łącka. Jak mówił osławiony gestapowiec Górka: „wypalenie bandyckiego gniazda do ostatniego kamienia.” Na bazę wojsk niemieckich wyznaczono tartak Adera w Jazowsku. To





*Partyzanci pod Mogielicą 11 listopada 1944 r.*

spowodowało, że 24.XII.44 r. oddział Aloszy napadł na Jazowsko, pałac fabrykę i zabudowania dworskie.

W Łącku krzyżowały się drogi różnych oddziałów partyzanckich: „Zawiszy”, „Bacy”, „Przyjaciela”, „Tatara”, „Pazura”, „Lamparta”, „Łazika” z AK, „Bicza”, „Juhasa”, „Zyndrama”, „Potoka” z BCH oraz „Aloszy”, kpt. Tani, mjr. Bielowa, płk. Gładylina – partyzantki sowieckiej.

Ludność Łącka umiała się zdobyć na najwyższy zryw walki, wpisując tysiące faktów cichego i dotąd nie ujawnionego bohaterstwa, do historii polskiego ruchu oporu.

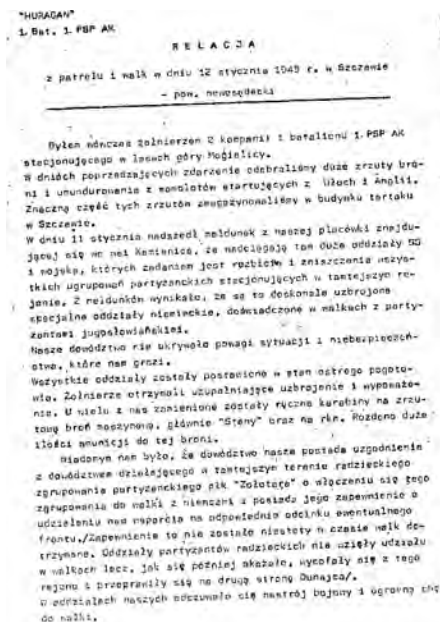
## Relacja z patrolu i walk w dniu 12 stycznia 1945 r. w Szczawie

W moim domowym archiwum znalazłem wspomnienia kolegi, śp. Jana Farona z Maszkowic, pseudonim „Huragan”. Spisał je by uchronić przed zapomnieniem tamte chwile, gdy razem walczyliśmy o naszą Ojczyznę. Jego życzeniem było, by te wspomnienia mogły być udostępnione szerszemu gremium. Myślę, że łamy „Almanachu Łąckiego” doskonale spełnią Jego życzenie.

Eugeniusz Piksa

\* \* \*

Byłem wówczas żołnierzem 2-ej kompanii, 1-go batalionu, 1-go PSP AK stacjonującego w lasach góry Mogielicy. W dniach poprzedzających zdarzenie, odebraliśmy duże zrzuty broni i umundurowania z samolotów startujących z Włoch i Anglii. Znaczną część tych zrzutów zmagazynowaliśmy w budynku tartaku w Szczawie.



W dniu 11 stycznia nadszedł meldunek z naszej placówki, znajdującej się we wsi Kamienica, że nadciągają tam duże oddziały SS i wojska, których zadaniem jest rozbicie i zniszczenie wszystkich ugrupowań partyzanckich, stacjonujących w tamtejszym terenie. Z meldunków wynikało, że są to doskonale uzbrojone, specjalne oddziały niemieckie, doświadczone w walkach z partyzantami jugosłowiańskimi. Nasze dowództwo nie ukrywało powagi sytuacji i niebezpieczeństwa, które nam grozi.

Wszystkie oddziały zostały postawione w stan ostrego pogotowia. Żołnierze otrzymali uzupełniające uzbrojenie i wyposażenie. U wielu z nas zamienione zostały ręczne karabiny na zrzutową broń maszynową, głównie „steny” oraz na rkm. Rozdano duże ilości amunicji do tej broni.

Wiadomym nam było, że dowództwo nasze posiada uzgodnienie z dowództwem, działającym w tamtejszym terenie radzieckiego zgrupowania partyzanckiego płk. Żołotara, o włączeniu się tego zgrupowania do walki z Niemcami i posiada jego zapewnienie o udzieleniu nam wsparcia na odpowiednim odcinku ewentualnego

frontu. (Zapewnienie to nie zostało niestety w czasie walk dotrzymane. Oddziały partyzantów radzieckich nie wzięły udziału w walkach lecz, jak się później okazało, wycofały się z tego rejonu i przeprawiły się na drugą stronę Dunajca).

W oddziałach naszych odczuwało się nastrój bojowy i ogromną chęć do walki.

W nocy z 11 na 12 stycznia 1945 roku, dowódca 2-jej kompanii, por."Gustaw" powziął decyzję o wysłaniu do Szczawy silnego patrolu rozpoznawczego. Zgłosiłem się na ochotnika do tego patrolu.

Na dowódcę tego patrolu wyznaczony został plut. „Ryś” (zawodowy żołnierz z 1939 r.). Patrol składał się w sumie z 5 żołnierzy. Dowódca patrolu wyznaczył pchr. „Wiesławowi” i mnie, funkcję szperaczy, stanowiących szpicę patrolu. Za tą szpicą w odległości 150 do 200 m. miał posuwać się dowódca z erkaemistą, noszącym pseudonim „Bryła” i z drugim żołnierzem, niosącym skrzynki z amunicją do tego rkm.

Taki układ miał zabezpieczać nas, szperaczy, i dawać nam możliwość bezpiecznego wycofania się (odwrotu), po dokonaniu rozpoznania sił niemieckich. W przypadku, gdybyśmy zostali zmuszeni otworzyć ogień do Niemców, erkaemista „Bryła” miał rozpocząć silny ogień ze swego rkm, wzmocniony jeszcze ogniem pistoletu maszynowego dowódcy i ogniem kb. amunicyjnego.

Po wyjściu z naszej bazy, osiągnęliśmy około godziny 2-jej w nocy drogę, wiodącą z Lubomierza do Kamienicy, na wysokości szkoły w Szczawie. Była dość mroźna i ciemna noc. Nie świecił księżyc. Posuwaliśmy się z „Wiesławem” bardzo ostrożnie wzdłuż drogi do Kamienicy. On po prawej, ja po lewej stronie tej drogi. W miarę posuwania się, obserwowaliśmy uważnie kontury mijanych zabudowań w Szczawie. Minęliśmy już nasz kościółek w Szczawie, przeszliśmy mostek i posuwaliśmy się dalej, mając po jednej stronie krzaki, a po drugiej odsłonięte zbocza, wznoszących się w górę pól uprawnych i łąk.

Na wysokości kapliczki doszedł nagle do moich uszu odgłos chrzęstu śniegu, wydobywający się, jak gdyby spod butów stąpającego kogoś ostrożnie z przeciwka. W pierwszym odczuciu błysnęła mi myśl, że to wraca jakiś chłopak od swojej dziewczyny i stąd zawołałem nie dość energicznie: – kto idzie? – zamiast odpowiedzi usłyszałem odgłos rzucających się na ziemię ciał i niemal jednocześnie ogień z broni maszynowej w naszym kierunku. Rzuciłem się na ziemię, oddając jednocześnie krótkie serie w kierunku, skąd prowadzony był ogień nieprzyjaciela. Zrozumiałem, że zetknęliśmy się z idącym od strony Kamienicy, patroliem niemieckim. Prawdopodobnie ubrani byli w białe, ochronne kombinezony i stąd, nie byliśmy dla siebie widoczni.

Niemcy strzelali bez przerwy krótkimi, urywanymi seriami, w tym również pociskami świetlnymi. Przywarłem mocno do ziemi, prowadząc nadal ogień w kierunku, skąd strzelali Niemcy. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że „Wiesław” nie strzela i nie strzela również z tyłu, nasz erkaemista „Bryła”, ani też dowódca naszego patrolu, plutonowy „Ryś”. Nie wiedziałem wówczas, że „Wiesław” został już śmiertelnie ranny, trafiony prawdopodobnie pierwszą serią niemiecką, a dowódca patrolu, zaskoczony tak nagłym naszym zetknięciem się z Niemcami i ich huraganowym

ogniem, nie wydał odpowiedniego rozkazu, towarzyszącym mu żołnierzom i nie poprowadził ostrzału, który umożliwiłby „Wiesławowi” i mnie, bezpieczny odwrót. Ostrzeliwując się samotnie, poczułem w pewnym momencie uderzenia pocisków o mój plecak i zrolowany wokół koc.

Domyśliłem się, że plecak ten, nie osłonięty białą tkaniną, stał się widocznie celem patrolu niemieckiego. Ogromnym wysiłkiem udało mi się odpiąć sprzączkę pasa plecaka i strącić go z moich pleców, a samemu przesunąć się z linii ognia.

Niemcy strzelali bez przerwy. Zdążyłem wymienić, opróżniony już magazynek mojego „stena”, na nowy i oddawszy jeszcze kilka krótkich serii, zacząłem się wycofywać, przesuwając się z trudem do tyłu, czołgając się jak rak, nogami do przodu. Zdawszy sobie sprawę z tego, że w nowym magazynku nie wiele już zostało pocisków, i że po jego opróżnieniu, nie będę miał już możliwości napełnienia go nabojami oraz, że nie słyszę obok strzałów „Wiesława”, ani też ognia osłonowego z tyłu, trzymałem bez przerwy mego „stena” wylotem jego lufy w pobliżu mojej głowy. Postanowiłem bowiem, że jeżeli Niemcy poderwą się do ataku i zechcą mnie wziąć żywym, udaremnię im skutecznie ten zamiar.

Dzisiaj dosyć łatwo przychodzi mi pisać o tym, ale wówczas przeżywałem tam bardzo ciężkie chwile. Bałem się zapewne i żał mi było utracić życie. Byłem przecież jeszcze tak młodym chłopcem! Przeróżne myśli kotłowały mi się w głowie. Oczyma wyobraźni widziałem moich rodziców, których bardzo kochałem. Moją zrozpaczoną matkę i zatroskanego ojca. Przychodziło mi na myśl moje młodsze rodzeństwo-siostra i bracia, koledzy i przyjaciele. Mimo woli łzy zaczęły się cisnąć do moich oczu i ściekać po twarzy. Ale równocześnie, inny bieg myśli kierował moją świadomość na fakt, że jeżeli zginę w tym stanie, a w moich martwych oczach i na mojej twarzy pozostaną ślady zamarzniętych łez, to każdy będzie mógł wówczas pomyśleć, że bałem



*Partyzanci AK w styczniu 1945 r. nad Szczawą „u Florka”*

się śmierci, że płakałem, a przecież żołnierz AK nie może płakać. Ja nie płakałem, ale wstyd by mi było, że po śmierci mógłby ktoś tak pomyśleć. Staralem się przeto wytrzeć łzy w ramiona i rękawy mojego kombinezonu, bacznie wpatrując się równocześnie w swoje przedpole, by móc od razu dojrzeć atakujących mnie Niemców.

W tym natłoku różnych myśli, kołujących się w mojej głowie, przesuwałem się wciąż do tyłu, kierując położenie swego ciała ukośnie, w lewo w nadziei, że i dobrnę do krawędzi pobocza drogi, wzdłuż której, w dole przepływała rzeczka. Przebłyskiwała w moim umyśle iskierka nadziei, że jeśli dotrę do tej krawędzi i zsunę się w dół, do rzeczki, to znajdę osłonę za wysoką skarpą tej rzeczki.

Niemcy strzelali bez przerwy. Nie wiedzieli widocznie z jak wielkimi zetknęli się siłami i prawdopodobnie sami zaczęli się również wycofywać, obawiając się okrążenia. Przez myśl im nawet nie przyszło, że mają przed sobą jednego tylko żołnierza – partyzanta, z niepełnym już magazynkiem naboju, który czołgając się do tyłu, przywarł całym ciałem do ziemi, z palcem na języku spustowym swego stena, gotów jest nacisnąć ten spust, w momencie gdyby chcieli wziąć go żywym. Byłem absolutnie bez szans, bo gdyby Niemcy mieli więcej odwagi, a zorientowawszy się, że nikt przeciw nim nie prowadzi ognia, poderwali się z ziemi i zaatakowali, mogli mnie dopaść jeszcze w ostatniej sekundzie mego życia. Przesuwałem się jednak wolno do tyłu, modląc się w duchu o jak najszybsze osiągnięcie zbawczej krawędzi pobocza drogi. Chociaż teren ten znałem dobrze, to trudno mi było w ciemności zorientować się w którym dokładnie miejscu się znajduję. Mijały minuty, które dla mnie wydawały się cała wiecznością i chwilami wydawało mi się, że nigdy już nie doczołgam się do skraju pobocza drogi, że wcześniej Niemcy poderwą się i zaatakują. Zaczęłem już tracić wszelką nadzieję na ocalenie, gdy nagle nogi moje zawisły w powietrzu, ziemia jakby zarwała się podę mną i ja bezwładnie stoczyłem się w dół. Znalazłem się w lodowatej, zimnej wodzie, łamiąc z trzaskiem lód, na obrzeżu przepływającej rzeczki. Oprzytomniałem. Zrozumiałem, że osłania mnie teraz wysoka skarpa, że tutaj nie dosięgną mnie już pociski Niemców. Byłem ocalony!

Podniosłem się i zacząłem biec w kierunku wzgórz, na których znajdowały się nasze oddziały. Mokry, przemarznięty i pokrwawiony ( byłem lekko ranny, gdyż pocisk niemiecki przeorał mi skórę na czubku głowy) dobrnąłem do oddziału, z pomocą „Sosny”, który natknął się na mnie po drodze.

Złożyłem meldunek por. ”Gustawowi”. Oddziały nasze były już w pełnym pogotowiu i szykowały się do wyjścia na wyznaczone wcześniej pozycje. Położono mnie niezwłocznie do łóżka w chatce góralskiej, w której stacjonował nasz dowódca. Koledzy – żołnierze otulili mnie jakąś ciężką pierzyną, podali jakiś mocny napój, powycierali i pomogli rozgrzać przemarznięte ciało. Sanitariusz opatrzył moją ranę na głowie i zadarcia naskórka na twarzy i dłoniach. Szybko zaczął mijać szok, w jakim się znajdowałem. Przyniesiono mi suchy mundur, w który się przebrałem. Wkrótce poczułem się znów pełni sprawnym i gotowym do dalszej walki żołnierzem.

W międzyczasie zaczęło świtać. Oddział nasz wyruszył w dół, ku Szczawie i zajął pozycje na skraju lasu, nad tartakiem. Nie chciałem, mimo propozycji dowódcy, zostać



na kwaterze. Wyruszyłem wraz z wszystkimi na pozycje. Niemcy atakując silnym ogniem, starali się pod osłoną drzew i zabudowań okrążyć nas od góry, posuwając się wzdłuż sąsiedniego zbocza. Zaczęli zagrażać lewemu skrzydłu naszej obrony, na odcinku, na którym wspierać nas mieli radzieccy partyzanci „Zołotara”.

Porucznik „Baca”, który znalazł się w pewnym momencie walk, opodał mojego stanowiska, polecił mi dokonać rozpoznania sytuacji w górnych partiach lasu, na naszym lewym skrzydle.

Skokami, przemykając między drzewami, przedostałem się w górne rejony, rzadko już zalesionego zbocza naszej góry. By osiągnąć wyznaczony mi, gęsto zalesiony szczytowy rejon sąsiedniego zbocza, po którym przesuwali się Niemcy, musiałem pokonać dość znaczną, otwartą przestrzeń. Aby pozostać niezauważonym przez wciąż napierających Niemców, zacząłem się czołgać po ziemi, przesuając się stopniowo ku szczytowi wzniesienia.

I na tej wolnej przestrzeni, po raz drugi w tym dniu, znalazłem się znów o krok od śmierci. Tym razem byłbym zabity przez własnych kolegów, żołnierzy I kompanii, którzy odpierali ataki Niemców na tym odcinku. Wzięto mnie w pierwszej chwili za żołnierza niemieckiego, podczołgującego się pod pozycją I kompanii. Trzymano mnie już na muszce, pozwalając zbliżyć się na odległość pewnego strzału. Wtedy nic o tym nie wiedziałem. Życie zawdzięczam mojemu koledze z gimnazjum, „Harnasiowi” – żołnierzowi I kompanii, który rozpoznał mnie i zapobiegł tragedii. Myślę, że „Harnaś” – Eugeniusz Piksa, złoży kiedyś również swoją szczegółową relację o tym zdarzeniu.

Mnie było widocznie sądzone żyć dalej. Po całodziennych walkach, w których nie ponieśliśmy większych strat, wszystkie nasze oddziały wycofały się pod osłoną nocy, w górne rejony wsi Słopnice.

Straty naszych oddziałów, poniesione w tych walkach to: zabity podchorąży „Wiesław”, będący wraz ze mną w szpicie patrolu, ciężko ranny w nogi szeregowy „Franz” i ja, lekko ranny w głowę. Straty Niemców, jak wynikało z późniejszych relacji mieszkańców Szczawy, wyniosły kilkunastu zabitych i kilkudziesięciu rannych. Walczący w naszych szeregach „Franz”, był Austriakiem, zbiegiem z armii niemieckiej. W oddziałach naszych był również inny zbieg z armii niemieckiej, pochodzący ze Śląska, Polak noszący pseudonim „Glina”. Wchodził on w skład patrolu naszej żandarmerii przy I batalionie I PSPAK. Był on jednym z tych, którzy opatrywali mnie i pomagali wrócić do równowagi, po odniesionej ranie i doznanym szoku, w czasie nocnego patrolu. Współczując mi wówczas, powiedział, m.in., że to co spotkało „Wiesława”

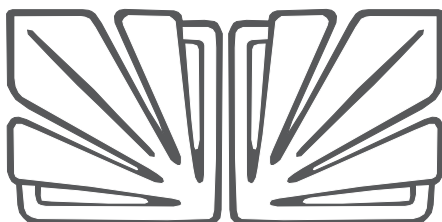
i mnie, w szpicie nocnego patrolu, byłoby spotkało jego samego. Gdyby bowiem, jego patrol żandarmerii przybył na czas na miejsce koncentracji batalionu, wówczas patrol ten, zamiast nas, poszedłby na rozpoznanie sił niemieckich w Szczawie.

Twierdził, że mnie zawdzięcza swoje życie,

Po wycofaniu się naszych oddziałów w górne rejony wsi Słopnice, dowiedzieliśmy się, z nasłuchu radiowego, że armia radziecka przerwała w tym dniu, tj. 12 stycznia front i ruszyła z ofensywą na całą długość tego frontu. Prawdopodobnie, w wyniku tej ofensywy, atakujące nas w ciągu dnia oddziały niemieckie, zaczęły już w nocy z 12 na 13 stycznia opuszczać osiągnięte w ciągu dnia pozycje. Z meldunków, jakie napływały od naszych łączników, wynikało, że oddziały te zaczęły następnie już od wczesnego rana 13 stycznia, wyjeżdżać pośpiesznie ze Szczawy. Zostały one prawdopodobnie skierowane na front rosyjski.

Tak zakończyły się walki naszego batalionu z okupantem hitlerowskim. W dniu 18 stycznia 1945 r. oddziały nasze zostały rozwiązane. Zdaniem niektórych uczestników walk, które prowadziliśmy w dniu 12 stycznia w Szczawie, przerwanie w tym dniu frontu przez armie radziecką, uratowało nasze oddziały od zagłady. Nie byliśmy bowiem w stanie wytrzymać długo ogromnej przewagi, jaką dysponowali, zaczynający okrążać nas w tym dniu Niemcy.

*Jana Forna pseudon. „Huragan”  
Chłwice  
-ul. Jagiellońska 3/5*



## Moje wspomnienia dotyczące budowy zapory wodnej w Jazowsku

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości 11 listopada 1918 roku, ze względów ekonomicznych, podjęto decyzję o budowie zapory wodnej w Czorsztynie. Według planu zaporę miała spełniać rolę elektrowni i jednocześnie zbiornika retencyjnego, ograniczającego powodzie na skutek wylewów Dunajca.

Między innymi gorącym zwolennikiem budowy zapory wodnej w Czorsztynie był prof. Gabriel Narutowicz, z wykształcenia specjalista od budowy zapór wodnych, których wiele wybudował w Europie Zachodniej przed wybuchem I wojny światowej.

Gabriel Narutowicz, prezydent RP, zginął od kuli zamachowca 16 grudnia 1922 roku, lecz budowa zapory w Czorsztynie nadal była w planach gospodarczych II Rzeczypospolitej. Realizacja nie doszła do skutku, wybuchła bowiem II wojna światowa.

Podczas okupacji hitlerowskiej, władze niemieckie planowały budowę zapory wodnej w Jazowsku i w związku z tym prowadzili intensywne badania geologiczne, w miejscu przyszłej zapory.

Po wyzwoleniu Polski z pod okupacji hitlerowskiej w 1945 roku, wznowione zostały badania geologiczne w Czorsztynie i Jazowsku. Wyniki badań geologicznych w Jazowsku wykazały, że teren przeznaczony pod budowę zapory wodnej, spełnia wszelkie wymogi obowiązujące przy tego rodzaju budowlach. W związku z tym, budowa zapory wodnej w Jazowsku była bardzo poważnie brana pod uwagę przez ówczesnych decydentów.

Możliwość wybudowania zapory wodnej w Jazowsku spędzała sen z powiek mieszkańcom Jazowska i okolic Łącka i Czorsztyna. Każda ze stron starała się usilnie odsunąć od siebie widmo budowy zapory. Liczne grono naukowców i przyrodników bardzo ostro krytykowało i zwalczało pomysł budowy zapory wodnej zarówno w Czorsztynie jak i Jazowsku.

Mieszkańcy okolic Łącka zwracali się z prośbą do najwyższych władz państwowych, o wzięcie pod uwagę, możliwość zniszczenia jednego z największych i najstarszych ośrodków sadowniczych w kraju, olbrzymich strat ekonomicznych z tym związanych oraz możliwość zniszczenia (zalania) jednego z najpiękniejszych przyrodniczo zakątków Polski.

Żeby podkreślić rolę i znaczenie ośrodka sadownictwa w okolicy Łącka, zaczęto począwszy od 1947 roku, rok rocznie (było kilka przerw w okresie stanu wojennego), organizować Święto Kwitnącej Jabłoni w Łącku, połączone z konferencją naukowców i sadowników na temat rozwoju nowoczesnego sadownictwa i jego ekonomicznego znaczenia dla regionu.

Niestety nie były to wystarczające argumenty, żeby przekonać i skłonić do rezygnacji z planów budowy zapory w Jazowsku, decydentów najwyższego szczebla.



Na skutek zarządzenia ministerstwa, wstrzymano wszelkie inwestycje, oraz wydano zakaz wydawania zezwoleń na budowę domów mieszkalnych w okolicy Łącka.

Sprawa wydawała się beznadziejna, spowodowało to ogromne przygnębienie, smartwienie, niepewność jutra i stresy wśród ludności, zakazy te bowiem, wraz z upływem czasu, bardzo utrudniały normalną egzystencję wielu rodzinom.

Mieszkańcy nieustannie wzmagali swe wysiłki i starania by oddalić widmo budowy zapory wodnej w Jazowsku. Starano się osłabić wpływy zwolenników budowy zapory w Jazowsku, ważyły się bowiem losy bardzo wielu mieszkańców Łącka i okolicy – zostaną zalane ich domy i pola, czy też nie. Decyzja należała do ówczesnej władzy, która z zapór powstanie – w Czorszynie czy też w Jazowsku.

Jadąc z Krakowa, autobusem, do rodzinnego domu w Zagorzynie, bardzo się zdenerwowałem, gdy na przystanku autobusowym, zobaczyłem listę wyborczą kandydatów na posłów do Sejmu, a wśród nich kandydaturę Jana Antoniszczaka.

Moje zdenerwowanie wynikało nie z uprzedzeń osobistych do p. Jana Antoniszczaka, lecz z obawy, że jako poseł może mieć wpływ na decyzję budowy zapory w Jazowsku. Utwierdzał mnie w tym przekonaniu fakt kontrowersyjnego zachowania Jana Antoniszczaka, gdy pełnił funkcję Przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej w Nowym Sączu.

W tak ważnym i trudnym okresie, jaka zapadnie decyzja dotycząca budowy zapory wodnej, postanowiłem działać szybko, sprawnie i radykalnie, żeby wyeliminować z listy kandydatów na posłów, kandydaturę Jana Antoniszczaka i pozbyć się ewentualnego zwolennika budowy, niechcianej przez mieszkańców Łącka i okolicy, zapory w Jazowsku.

Gdy przyjechałem do rodzinnego domu w Zagorzynie, w sobotę 5 stycznia 1957 roku, spotkałem się z przyjaciółmi, sąsiadami i znajomymi, których poinformowałem o tym, że pragnę wziąć w kampanii wyborczej jako kandydat na posła do sejmu. W związku z czym należy wycofać z listy wyborczej kandydaturę Jana Antoniszczaka.

Zawiązał się komitet, który wysłał pismo do Wojewódzkiej Komisji Wyborczej w Krakowie, następującej treści: „Żądamy wycofania z listy wyborczej kandydatów na posłów do Sejmu kandydatury Jana Antoniszczaka i umieszczenia na liście wyborczej naszego kandydata Władysława Myjaka. Niniejszym informujemy, że jeśli nasze życzenie nie zostanie spełnione, zbojkotujemy wybory”.

Komitet zajął się również zbieraniem podpisów od mieszkańców wsi w sprawie wycofania z listy kandydatów na posłów, kandydatury Jana Antoniszczaka i umieszczenia na tej liście mojej osoby. W dniu 7 stycznia 1957 roku wyjechała do Krakowa delegacja w składzie: Józef Majewski z Woli Piskuliny, Marian Augustyniak z Woli Kosnowej i Stanisław Jarek z Zagorzyna, Która wręczyła Wojewódzkiej Komisji Wyborczej w Krakowie, listy z podpisami wyborców wsi Zagorzyn, Woli Kosnowej, Kiczni i Woli Piskuliny.

W związku ze złożonym wnioskiem, delegacja została grzecznie i dyplomatycznie poinformowana, że pomimo szczyrych chęci, nie można dokonać żadnych zmian

na liście wyborczej, ponieważ jest już po czasie na wszelkie odwołania, wybory są bowiem wyznaczone na dzień 20 stycznia 1957 roku.

W tej sytuacji zdałem sobie sprawę, że Komisja Wyborcza nie pójdzie na żadne ustępstwa i nasza inicjatywa w tym zakresie nic nie zmieni, ale byłem pewien, że wniosek spełnił ważną moralną rolę. Byłem bowiem pewien, że wiadomość o naszej inicjatywie i jej odmownym załatwieniu przez Komisję Wyborczą, odbije się szerokim echem w całym okręgu wyborczym i w zasadniczym stopniu zmniejszy szanse wyborcze Jana Antoniszczaka.

Radykalne działania komitetu, powołanego przez społeczność wsi: Zagorzyn, Woli Kosnowej, Kiczni, Woli Piskulinej, w celu skreślenia z listy wyborców, kandydatury Jana Antoniszczaka, nie miało charakteru osobistego czy też ideologicznego, lecz czysto społeczny i wynikało z potrzeby zakończenia wszelkich niedogodności, utrudnień i szykan jakie dotykały mieszkańców, jak i też obrony przed zniszczeniem kolebki sadownictwa na tych ziemiach i wspaniałego krajobrazu, czym groziła budowa zapory wodnej w Jazowsku. Były więc to działania ze wszech miar uzasadnione, usprawiedliwione i popierane przez lokalną społeczność.

Tak jak przewidywałem, tak się stało, Jan Antoniszczak przegrał wybory, nie uzyskał mandatu posła. O ile mnie pamięć nie zawodzi, było to jedyne wydarzenie w czasie rządów PRL, że kandydat PZPR, umieszczony na liście na pierwszym miejscu, przegrał wybory. W związku z tą sytuacją trzeba było powtórzyć wybory w okręgu wyborczym w Nowym Sączu. Janowi Antoniszczakowi nie zdołał nawet pomóc ówczesny I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Krakowie, Bolesław Drobner, który przyjeżdżał do Nowego Sącza i na wiecach apelował o poparcie dla jego kandydatury.

Cel został osiągnięty, więc komitet przestał zbierać podpisy. Wróciłem do Krakowa i przez jakiś czas nie bywałem w rodzinnych stronach, gdyż nie miałem zamiaru ubiegać się o kandydaturę na posła, lecz jedynie zablokować kandydaturę Jana Antoniszczaka.

Zgłoszono kandydaturę Zbigniewa Gertycha, dyrektora Instytutu Sadownictwa w Brzeźnej, która została zaakceptowana. Zbigniew Gertych cieszył się znacznym poparciem władz administracyjnych, Wojewódzkiego Komitetu PZPR, a także środków masowego przekazu.

Mieszkańcy Łącka i okolic mieli nadzieję, że jako dyrektor Instytutu Sadownictwa i poseł, pomoże w walce o uratowanie tego terenu przed budową zapory wodnej w Jazowsku.

Zbigniew Gertych, chociaż był zwolennikiem nowoczesnych, niskopiennych sadów, i uważał sady w okolicy Łącka za przestarzałe, to zarówno w kampanii wyborczej oraz gdy już został posłem na Sejm (17.03.1957 r.), występował w obronie sadów na tych terenach.

Wydaje mi się, że działalność p. Zbigniewa Gertycha, jako posła, oraz korzystna opinia Instytutu Sadownictwa w Brzeźnej, w znacznej mierze przechyliła szalę na korzyść Łącka, i zapórę wodną postanowiono wybudować w Czorszynie.

Uważam, że na wskutek szczęśliwego zbiegu różnych okoliczności, okolica Łącka została uratowana przed zagładą.

Z powodu wieloletniego zastoju oraz niepewności, mieszkańcy okolic Łącka ponieśli znaczne straty materialne i ekonomiczne (wstrzymane pozwolenia na budowę domów mieszkalnych, inwestycje). Szczęśliwe zakończenie rekompensuje wszelkie wysiłki i trudy poniesione w tej walce.

Listy z podpisami wyborców, które zostały wręczone Wojewódzkiej Komisji Wyborczej w Krakowie (potwierdzone kopie) wręczyłem redaktorowi dr Bolesławowi Dereniowi, kierownikowi Archiwum PSL w Krakowie, ulica Batorego 2.

\*Władysław Myjak, syn Wincentego Myjaka, posła na galicyjski Sejm Krajowy z Nowego Sącza w latach 1908 – 1918.

O Wincentym Myjaku pisała Alicja Fitowa w „Almanachu Łąckim” nr 2.



*Józef Zygadło*

---



Józef Zygadło ur. w 1860 r. zm. 1929 r.  
Przybył do Łącka w 1880 r., by objąć stanowisko organisty w kościele parafialnym na zaproszenie ówczesnego proboszcza, księdza Korab – Pociłowskiego.

Pochodził z Brzozowa w powiecie krośnieńskim.

W Łącku, oprócz pracy w kościele, udzielał się na niwie społecznej, był współzałożycielem i przez pewien czas naczelnikiem Ochotniczej Straży Pożarnej.

*Podał Tadeusz Zygadło.  
Zdjęcie ze zbiorów rodzinnych.*

## Augustyn Franczyk 1900 – 1969



Augustyn Franczyk. 1921 r.

Augustyn Franczyk urodził się 28 sierpnia 1900 roku w Łącku jako syn Jana i Apolonii z domu Walenty.

W roku 1924 zawarł związek małżeński z Anną, z domu Zahn.

Aresztowany w Łącku w dniu 30 marca 1940 roku, przewieziony następnie do Tarnowa i pierwszym transportem więźniów wywieziony do Oświęcimia w dniu 14 czerwca 1940 roku. Wraz z Augustynem Franczykiem, wywieziony został także mieszkaniec Łącka, Grzegorz Wiatr (numer obozowy 697). Transportem tym wywieziono z Tarnowa do Oświęcimia 728 osób.

Augustyn Franczyk otrzymał numer obozowy 442, był więźniem politycznym. W dniu 11 listopada 1943 roku był świadkiem rozstrzelania Antoniego Marka (był kurierem, który przeprowadzał uciekinierów na Węgry).

W Oświęcimiu Augustyn Franczyk przebywał do 25 stycznia 1945 roku, tego dnia wraz z pozostałymi więźniami, został wyprowadzony

z obozu w „marszu śmierci” do obozu w Mauthausen-Gusen.

Pierwszym etapem tego marszu był Racibórz, w którym więźniów załadowano na odkryte wagony „lory”, i przewieziono do obozu w Mauthausen-Gusen, do którego dotarli wieczorem, całą noc spędzili na trzaskającym mrozie, na placu pod gołym niebem. Nocy tej nie przeżyło wielu więźniów, zmarli z zimna i wyczerpania (około 2000 więźniów zmarło). Następnego dnia po śniadaniu, które składało się z „cienkiej” herbaty i kromki suchego chleba, zostali przewiezieni do podoboju Mathausen-Gusen w Meleck. W obozie tym otrzymał numer 116705, tam też został wyzwolony przez Amerykanów 5 maja 1945 roku. Do Łącka wrócił 7 lipca 1945 roku.



I transport więźniów z Tarnowa do Oświęcimia. 14.06.1940 r.



Zaświadczenie o zwolnieniu z obozu Mauthausen-Gusen

Na pierwszy zjazd, byłych więźniów I transportu z Tarnowa, przybyło 69 osób (2 pozostało za granicą), tylko tyłu przeżyło obozy koncentracyjne.

Po powrocie z obozu otworzył Augustyn Franczyk piekarnię, a następnie masarnię, którą prowadził do 1948 roku, to jest do czasu powszechnej nacjonalizacji. 12 września 1946 roku został aresztowany przez UB, wypuszczony został na mocy amnestii, w marcu 1947 roku, przed referendum 3 x TAK.

Od 1948 roku, po tym jak znacjonalizowano wszelkie prywatne przedsiębiorstwa, prowadził 2,5 ha gospodarstwo rolne.

Zmarł 21 marca 1969 roku.

Do dnia dzisiejszego żyją dzieci Augustyna Franczyka: w Łącku: Stefania, po mężu Dybiec oraz Marceli Franczyk, w Nowym Sączu – Henryk Franczyk, w Krakowie – Zofia Maj z domu Franczyk. Syn Bronisław Franczyk, zmarł, i jest pochowany na cmentarzu w Łącku.

Opracowała Jadwiga Jastrzębska, na podstawie informacji udzielonych przez p. Marcelego Franczyka.

Fotografie i dokumenty z rodzinnego archiwum p. Marcelego Franczyka.



Stare obiekty, które przetrwały do czasów obecnych świadczą o ludziach, którzy żyli na tej ziemi, ich działalności, kulturze, religii i zwyczajach. W każdym zabytku zawarta jest część historii, ciekawa opowieść czy legenda. Jednak często w naszej okolicy spotykamy obiekty historyczne, na które nie zwracamy uwagi, nie znamy ich pochodzenia, a często wręcz z różnych powodów chcemy się ich pozbyć.

Aby upowszechnić wiedzę o regionie pod patronatem Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej przeprowadzono wśród uczniów gminy Łącko akcję zbierania dokumentacji (fotografie, opisy zabytków, ich historia) na temat: ZABYTKI ZIEMI ŁĄCKIEJ. W to przedsięwzięcie włączyły się Szkoły Podstawowe z Kadczy, Obidzy, Zabrzeży, Kiczni, Czarnego Potoku, a także Gimnazjum w Łącku. Z nadesłanych prac powstała prezentacja multimedialna, którą można wykorzystać np. jako pomoc dydaktyczną na lekcjach o regionie. Poniżej zamieszczono fragmenty tej prezentacji.

### ***Kapliczka na Opalanej***

Jak podaje tradycja podczas jednej z powodzi figura z P. Jezusem Cierpiącym została wyrzucona na brzeg Dunajca na Opalanej. Miejscowa ludność umieściła ją na brzegu i otoczyli czcią. Po pewnym czasie po figurę zgłosili się jej wcześniejsi „właściciele” i zabrali ją. Jednak niebawem sytuacja powtórzyła się i w to samo miejsce przywędrowała ta sama figura. Ludność odebrała to jako znak od Boga i pozostawiono figurę w miejscu dokąd sama przywędrowała. Tam też wybudowano kaplicę, która z czasem stała się lokalnym sanktuarium. Nieopodal znajduje się źródło Św. Kingi, z którego chętnie korzystają pielgrzymi i miejscowa ludność.



## *Spichlerz z Kiczni*

Ten okazały i bogato zdobiony spichlerz zbudowany został w roku 1870 i należał do rodziny Jurkowskich z Kiczni. W 1974 r. został przeniesiony do skansenu w Falkowej gdzie reprezentuje tradycyjny budynek gospodarczy z okolic Łącka.



## *Studnia na rynku w Łącku*



Przed II wojną światową była to zwykła studnia stojąca w środku zabudowy żydowskiej. Po drugiej stronie rzeki, blisko mostu, stała natomiast kapliczka św. Floriana. Pod koniec II wojny światowej Niemcy wysadzili główny most na rzece przy okazji niszcząc kapliczkę, jednak figura świętego ocalała. W tym czasie w Łącku przebywał architekt Władysław Bubiec, który wpadł na pomysł umieszczenia figury św. Floriana na studni. Od tego czasu stała się ona cennym zabytkiem i wizytówką Łącka.

## *Kapliczka z Zabrzeży*

Pierwsze wzmianki o kapliczce z Zabrzeży, stojącej przy skrzyżowaniu głównych dróg pochodzą z 1910 r. jednak dokładna data jej wybudowania nie jest znana. W 1946 roku doszło do odbudowy kapliczki na wzór starej przedwojennej. Obrazy znajdujące się wewnątrz kapliczki odnowił ówczesny kierownik miejscowej szkoły Jan Bucyk. Jak twierdzą okoliczni mieszkańcy podczas remontu w murze umieszczono naczynie szklane z dokumentem mówiącym o kapliczce.



Materiał pochodzi z prac nadesłanych przez uczniów szkół gminy Łącko na wystawę pt.: ZABYTKI ZIEMI ŁĄCKIEJ



## *Łącko piórem Stanisława Wąchały malowane*

---

Wiersze i pieśni autorstwa znanego łąckiego działacza kultury – jak twierdzi Stanisław Moryto – „są śpiewane i mówione nie tylko w Łącku, lecz także na całej Sądecczyźnie. Nikt nie zastanawia się kto jest ich autorem. Są traktowane tak jakby były znane od zawsze. Są traktowane jako trwałe element lokalnej tradycji, folkloru i twórczości ludowej.” [s. 4]

Na szczęście dorobek pisarski Stanisława Wąchały doczekał się zebrania i wydania w książce pt. *Kocham Cię Łącka Ziemi* (Łącko, 2006, wydawca i nakład nieznanymi). Nie bez powodu tenże zbiorek nosi tytuł jednego z wierszy w nim zamieszczonego, gdyż owe poezjowanie w całości stanowi wielkie wyznanie miłości do małej „ojczyzny kwitnącej”. Aby owo uczucie wyrazić, Wąchała nie potrzebuje wyszukanych słów, metafor, nie ucieka się do liryki, maski. Z bezgraniczną bezpośredniością wypowiada swe umiłowanie: „Kocham te pola, miedze i niwy (...) Dunajec kocham i Czarną Wodę”, „kocham góry”, „i ludzie w górach kochani”. Zachwyt wyraża w najprostszych słowach: „Ej, (...) lesie mój zielony / tyś jest taki piękny, / z której spojrzę strony”, „Jak tu pięknie”.

Poprzez tę prostotę nie przemawia bynajmniej banalność, lecz dogłębna szczerłość, nie naiwność, lecz pogodna filozofia życia tego, który odnajduje w otaczającej przyrodzie ukojenie, radość, natchnienie. Jego pisanie o tym wypływa z potrzeby serca. Kontemplacja rodzinnego krajobrazu domaga się wysłowienia: *Kochane Łącko, gdy na cię patrzę / widząc cię, piórem maluję.*”

Przed oczami czytającego jawi się obraz Łącka z nieodzownym dlań widokiem kwitnących, białych sadów, zielonych lasów, łąk przeciętych wstęgami Dunajca i Czarnej Wody. Jednak wydaje się, iż paleta barw prezentuje się znacznie skromniej od gamy dźwięków, które poeta wydobywa, „wsluchując się” w przyrodę. Owe wiersze przepełnione są najróżniejszymi odgłosami lasu, rechotem żab, tkliwą melodią pastuszka, szumem rzek, które „płynące szepcą jakby zaklęcie / lub prawią legendę starą.” Fakt ten nie powinien dziwić, biorąc pod uwagę utalentowanie muzyczne Wąchały. Wszak był on długoletnim członkiem Orkiestry Dętej, kształcąc również w Ognisku Muzycznym, młodych muzyków sekcji dętej.

Świat przedstawiony w wierszach Wąchały nie stanowi odrębnej, autorskiej wizji rodzinnej miejscowości. Nie czuje się on w żaden szczególny sposób predysponowany do dostrzegania jej walorów. Zmysłowe odczuwanie piękna łąckiego krajobrazu jest przywilejem każdego „łacowioka”. Artysta czuje się częścią tejże społeczności, dając temu wyraz między innymi w tytule jednego z wierszy: „*Nasze Łącko*”.

W ogóle owa twórczość pisarska jest silnie zrośnięta z jego działalnością, czy wręcz misją społeczną. Z tekstów tych wynika głębokie zrozumienie powinności wobec ukochanej ziemi. Świadomość tego, iż należy jej służyć nie tylko dobrym słowem, lecz czynem. Autor czuje się powołany do tego, by utrwalać odwagę i trud

tych, którzy stoją na straży Ojczyzny. Stąd też liczne teksty poświęcone wopistom, w których notabene zawarty jest także pierwiastek własnych doświadczeń, wspomnień ze służby w wojskach ochrony pogranicza.

Dowodem na aktywne życie społeczne pana Stanisława jest szereg utworów okolicznościowych, dyktowanych niejako chwilą, której miały nadać odświętny, wyjątkowy charakter. Upamiętniają one ważne wydarzenia, przeżywane uroczystości, stanowiąc tym samym swoistą poetycką kronikę Ziemi Łąckiej.

Kochać, chronić i rozstawić – to główne zadania Wąchały wobec swojej Małej Ojczyzny. Ten trzeci postulat najpełniej zrealizował poprzez tworzenie tekstów do melodii ludowych, wchodzących w skład repertuaru zespołów regionalnych. W omawianej książce znajduje się ponad osiemdziesiąt pieśni. Typowi dla tego rodzaju utworów bohaterzy: Jasiak i Marysia, pasterz i pasterka zostali osadzeni w konkretnej przestrzeni łąckiej. Treść owych pieśni ugruntowała wizerunek radosnego, roztańczonego i rozśpiewanego mieszkańca tych ziem. Niepodważalnym ich walorem jest również to, że prawie wszystkie pisane są gwarą.

Piękna, miejscowa gwara stanowi także bodaj największy atut twórczości prozatorskiej Wąchały, czyli gadek ludowych. W tych dłuższych utworach o zajmującej, nierzadko zabawnej fabule, opowiadających o jakiejś legendzie czy zdarzeniu z życia Łącczan, dał upust swojej pasji do snucia opowieści. Umiejętności te były dobrze znane i cenione przez ludzi z jego otoczenia. Cytowany wcześniej Moryto, tak wspomina artystę: *„Bywając w Łącku odwiedzam często znajome z dzieciństwa miejsca. W czasie tych wędrówek mam wrażenie, że widzę Staszka, jak idzie drogą z kosą na ramieniu prowadząc „do pola” krowę, lub jak wraca z wesela ze swoją ukochaną trąbką pod pachą. Wydaje mi się wówczas, że zatrzyma się obok mnie i opowie mi (piękną gwarą) jedną z tych niesamowitych historii, które mu się przytrafiły. Ale zaraz uświadamiam sobie, że jest to niemożliwe...”* [s. 4]

Spotkanie z artystą jest jednak możliwe podczas lektury książki *Kocham Cię Łącka Ziemi*, która opublikowana przy wsparciu finansowym Starostwa Powiatowego w Nowym Sączu i Urzędu Gminy w Łącku stała się uhonorowaniem wszystkich zasług S. Wąchały dla swego regionu.

---

Stanisław Wąchała, *Kocham Cię Łącka Ziemi. Wiersze, pieśni i gadki ludowe*. Łącko 2006, ss. 135.

*„Usteria”, „Wyźnia” i „Kościelna”*

Pamiętasz ją z poprzednich pobytów, kobieta twoich marzeń, pożądań i wściekłości, że nie możesz jej posiąść.

Mary – niewolnica, stworzona do poniżeń, obijania i zastraszania. Zdradziecka kobieta wąż, nadepnięta wpuszcza śmiertelny jad. Można z nią igrzać mając opasłe konto w PKO BP, które sprytnie przelewa na Kajmany, bez cienia skrupułów, za swoje usługi. Boisz się jej z siłą równą pożądaniu. Ugniatasz nocą poduszkę tak mocno, że pozostałe po nocy zagniecenia na policzku nie wyrównują się szybko. To dowód na twe znerwicowanie, kiedy o tym rozmyślasz, wyjmujesz fajkę z ust i stajesz się jakiś bezbronny, jakby rozebrany na swoim tarasie w Czercu – jak z upodobaniem od dzieciństwa za namową dziadka, używasz nazwy Czerc z XVIII wieku. Czas staje, nawet szczek Margaja nie jest w stanie wyrwać cię ze świata marzeń i rozświetlonego jupiterami podestu z błyszczącą rurą, w zajeździe „Usteria.”

Z odrętwienia wrywa cię ryk traktora jadącego w opasłe sady nad Dunajcem, z których suszone śliwy jabłka i gruszki już w XIV w. wywożono z Łącka nawet do Gdańska.

Podjeżdżacie pod znajome, masywne drzwi wejściowe” Usterii”, ty i pies Margaj, najnowszym modelem Porsche Carrera. Bez obawy zostawiacie samochód w dawnej, ogromnej wozowni” Usterii” Żyda Zachariasza Grossbarda, z którego prawnukami doskonale się znasz. A z jednym jesteś w bardzo bliskiej, serdecznej przyjaźni. Z sentymentem patrzysz na ponad stuletnie drabiny niespotykanej długości, służące za żłób, za którymi było siano dla koni. Fiakrzy wiozący letników i gości kąpielowych do łązienek w Szczawnicy ze stacji w Starym Sączu tutaj, pod dachem, mieli postój w połowie drogi. Był tu hotel i restauracja.

Jak zawsze dotykasz brzegu starej studni na korbę, która gdy brzegi pokryły okrajki, a potem lód skuł potok, studnia wewnątrz wozowni nigdy nie zamarała i okoliczna ludność czerpała z niej wodę. Zachowały się jeszcze dwa wiadra na długiach łańcuchach. Zabudowania były tak okazałe i tak blisko potoku, że przeszkadzały w dojściu ludności i zwierząt na targowicę. A po targowicy, to tu w zajeździe „Usteria” zostawiano część zarobionych pieniędzy, a nie rzadko wszystkie. Wielką estymą darzysz wszystkie stare zabytki łąckiej ziemi.

– To moje korzenie – mówisz słowami dziadka – dlatego je pielęgnuję.

Siadasz rozparty na kanapie, u stóp leży Margaj z miną domownika, oparty grzbietem o twoje stopy. Czas się nie dłuży, pokonujesz drugie cygaro i trzecią whisky

czekając w „Striptizerni Usteria Go-Go”, na wieczorny występ, razem z kilkoma stałymi bywalcami, których pozdrowiłeś ruchem ręki.

Na środku stoi rura,

podejdzie do niej twoja Mary,

pokręci się, poskacze, przykucnie przed tobą-a jakże. – No Mary! go, go!

– wołasz z innymi śliniąc stu dolarowy banknot, który przyklejasz jej do uda i szpagat jest tylko for you. Wlewa się słodycz do męskich serc, jak z podkradanego dżemu, kończąc pokaz orgazmem wyobraźni w oczach rozentuzjasmowanych panów.

Margaj po spieszonym otwieraniu i zamykaniu pewnych drzwi, podnosi się wiedząc, że za chwilę pójdziesz z nim na spacer przez Płosę, jak dawniej nazywano potok Czarna Woda.

Przejdziecie przez jedną z dwu ławek, czyli zabytkowych kładek, które miał każdy dom, by móc przejść na drugą stronę rynku. Obowiązkowo, obok plebańskiej karczmy „Kościelna”, która przed pierwszą wojną światową słynęła w okolicy z kręgielni, urządzonej ma modłę starosądeckiej karczmy „Na Kamieńcu” nad Popradem. Zajrzą do drugiej kościelnej karczmy „Wyźnia”, gdzie wieczorami przesiadywali ci, którzy chcieli umniejszyć pokutę za picie śliwownicy, żytniówki i „okowity”.

### „Zazdrosna”

Zsiadasz ze swojego Harleja D.i nie wiesz czy możesz go bezpiecznie zostawić na parkingu przed karczmą „Zazdrosna” w Czerńcu. Mary z zajazdu „Uateria”, pożądana przez wszystkich mężczyzn z okolicy, bogata kobieta z wrodzonym sprytem do interesu, zgodziła się patrzeć w twoje pełne uwielbienia oczy, przestać pracować w zajeździe i wprowadzić się do twojej samotni na pustkowiu Czerńca. Z ogromnego tarasu widać stąd całe zakole Dunajca.

Stara karczma „Zazdrosna” popłynęła z powodzią w 1905 r. a jej właściciele Żydzi Hochner i Korn, gdy nie pozwolono im na budowę nowej karczmy po drugiej stronie gościńca, odbudowali ją tu na palach i oparła się wylewom Dunajca. Twój dziad przegrał tu niemałą gotówkę w „fortunkę”, grę podobną do ruletki, która przyszła ze Starego Sącza pod koniec XIX w. i szybko jej zakazano.

Ubrany jak z żurnala dla motocyklistów, omiatasz obojętnym wzrokiem głowy gawiedzi.

Twój kapelusz Johna Battersona Stetson łąduje na brzegu drewnianego stołu.

Mary patrzy na ciebie pobłaźliwie, z uwagą, jakbyś ośmielał nieśmiałe dziecko.

– Zdążyłem – mówisz do niej bez usprawiedliwień – ta godzina spóźnienia Mary, małe piwo, przyszcz – i tak zostaje.

Nabijasz swoją fajkę tytoniem Bull Durham i patrząc jej w oczy, czekasz cierpliwie na swoje pół porcji whisky Złotego Johnnie Walkera – exclusiv trunku, sprowadzanego tu specjalnie dla ciebie. Przygląda się teraz twojej pysze.

– Ja i mój harem – myślisz rozglądając się rozparty, – ona moja kobieta Mary

i mój pies Margaj, zawsze na mnie czekają. W twoich oczach odbija się kpina i abnegacja, typowe dla tych, którzy mają na pieńku ze wszystkim i z każdym.

– Gdzie ty u diabła byłeś, co robiłeś na poprzednim postoju? – pyta samą siebie. Margaj obwąchuje dokładnie twoje spodnie i oblizuje się dziwnie wyginając ciało. Siedzi zniesmaczona, jak korek od pustej butelki, kiedyś ważny dodatek dziś śmieć. A ty przekręcasz swój talizman dobrego kierunku i gnasz dalej całując ją bez słowa pożegnania w czoło.

– Pędź w pośpiechu tam, gdzie mijający czas nie mija, liczą się tylko męskie namiętności: pieniądze, motor, whisky, fajka i ktoś, ale niekoniecznie – mówi Mary do siebie.

Omiata ją pustka, tylko w dali słyhać nieprzytomnie zaabsorbowanych grą w kości, kosteraków – jak ich nazywano w XVII w. – i to też przejęłam od ciebie – szepcze Mary – zamiłowanie do dawnych nazw i ciekawość obrzędów okolicy Łącka.

### **Na tarasie w Czerńcu**

Siedzisz wśród kwiecia magnolii, na swym zalanym słońcem tarasie „Margajki”, na pustkowiu w Czerńcu i drugi raz czytasz wydanie słynnego seksuologa, podróżnika Andrzeja S. pt. „Upodobania seksualne górali świata” i co? i nic tam takiego ciekawego nie ma. Wszystko to za odpłatnością można mieć w „Striptizerni Usteria Go-Go”. Ten opasły podręcznik jest dla ciebie bezużyteczny. Jesteś dziś sam, Mary pojechała sfinalizować kolejny już tego roku kontrakt. Nie znasz się na jej tajnych interesach, ale nie masz nic przeciwko wystawnemu życiu, które prowadzicie.

Margaj niecierpliwie upomina się o spacer. Rzucasz kucharzowi kilka słów na temat gościa i obiadu, wkładasz swój kapelusz J.B. Stetson i wychodzisz na umówioną ścieżkę, zaraz za potokiem Borki. Tu nieopodal na Obłazie miał być przed wojną most. Czarniecka ludność miała za Dunajcem „bogate” pola. Lecz na posiedzeniu rady, radny Żyd Melec domagał się zwolnienia radnego czarnieckiego, Sopaty, który z dobrym skutkiem zabiegał u władz o pozwolenie na budowę. W odpowiedzi na obelgi Melca – Sopata włożył kapelusz na głowę i z godnością wyszedł z posiedzenia. Mostu nie wybudowano.

Już z daleka widzisz machającą rękę przyjaciela, to jeden z prawnuków Grossbarda, do którego, po pradziadku przyłgnęło przezwisko Hajci. Witasz się z nim mocno ściskając. To spotkanie sprawia ci prawdziwą przyjemność, której nie podzielają inni, wężąc w tej znajomości sensację na miarę okolicy.

### **Kaźnia**

I znów ze spaceru w wiklinach przynosisz owiniętego w derkę, porzuconego koło Dunajca psa. To już drugi w tym roku. Ach ta twoja słowiańska dusza, po matce, z nieodgadnionym labiryntem myśli. Nigdy nie pozbędziesz się miękkości i sentymentów natury. Margaj patrzy z wyrzutem zazdrości, że prócz niego znów ktoś

wdziera się do twojego serca i już stawia ci kapliczkę uwielbienia. Po filiżance mocnej herbaty Ceylon, którą sprowadzasz z własnej plantacji na Sri Lance, siadasz na tarasie z fajką, by podszkolić się w swoim staroangielskim.

A może weźmiesz się do nowej powieści.

Już masz przemyślaną, o wykonawcy wiejskich wyroków roczków sądowych, które odbywały się w wieży łąckiego dworu, w obecności administratora łąckiego i okolicznych wójtów. Wyszperałeś jedno z posiedzeń z 13 grudnia 1745 r. Masz opis kuny– wrzeciędz żelazny służący przy słupie drewnianym lub drzwiach kościelnych do przymykania winowajców za szyję lub rękę, na cały czas nabożeństwa, dla ukarania wstydem. Twój bohater zaleca się do wszystkich dziewcząt powyżej szesnastego roku życia. Marzy tylko o jednej, której nie dosięgnie nigdy, bo jest za ubogi. Ona zbyt wyuczona i wyrafinowana, by dostrzec jego zalane, prócz pożądania czystą miłością oczy. Niebywale wysoki, czarnowłosy z fiołkowymi oczami, przyciąga urodą wzrok całej żeńskiej części Łącka i okolicy, bez względu na wiek. Pracuje przy pręgierzu, który znajduje się w narożnym domu w rynku w stronę Krościenka, zwanym „Kałużnia”. Wymierza plagi i karania postronkowe. Pilnuje winowajców, by stali z istykiem, świecą lub cebuchem nad głową pod tęczą w łąckim kościele oraz, aby pijacy i kosteracy podczas nabożeństwa w kości nie grali i nie pili alkoholu, co dziś jest wręcz niemożliwe.

Sadza w kunie za brak szacunku dla sądu i dla władzy.

Twoja Mary uwielbia jak piszesz o miłości. Wierzysz w swoje pisarskie umiejętności i wątpisz zarazem, jak człowiek. Pisanie przychodzi ci wyjątkowo łatwo, jak nieskomplikowana czynność fizjologiczna.

I dajesz się namówić Mary. Zawijasz w ogon swoje długie do ramion włosy i siadasz przy komputerze. Czas odpoczynku – myśli Margaj wskakując szybko na twój fotel, gdzie z czarnej sierści pozostają ślady zabronionych pobytów.

### **„Kałużnia”**

Dziś pozostajesz sam. Tak jak od jej przeprowadzki przed dwudziestu laty, jedną noc w miesiącu spędzacie osobno. W oddali, na skraju widnokregu widzisz wiszący most nad Dunajcem w Zabrzeży, za karczmą „Kałużnia”, którą przez ponad 70 lat na przełomie XIX i XX w. prowadziła żydowska rodzina Steinerów. Po zniszczeniu przez powódź karczmy „Zazdrosna”, bojąc się konkurencji, skutecznie blokowała różnymi sposobami pozwolenie na odbudowę karczmy. „Kałużnia” to najstarsza wiekiem karczma w Polsce, nie możesz sobie wprost wyobrazić, że pamięta czasy początku XIV w. Upolowane w chytrze przemyślany sposób, kwiczoły ze Szczereża, wyborne przyrządzano i podawano tu, już ponad sto lat temu. To wyborne danie pamiętają starzy mieszkańcy okolic Łącka. Żydzi skupowali kwiczoły i zapełniali nimi miasta.

W złotych promieniach słońca spostrzegasz na moście charakterystyczną wysportowaną sylwetkę Mary.

Ta kobieta interesu ma niebywały dryg do robienia pieniędzy, ale pije jak ryba. Jest nieprawdopodobnie przesądna i zabobonna, jak wszystkie kobiety z tego regionu. Po najszcześniejszym dniu, jaki był w twoim życiu, gdy zabierałeś ją ze „Striptizerni Usteria Go-Go”, nastały lata nieopisanej gehenny. Mimo bogactwa, które wniosła w twoje życie Mary, tobą i „Margajką” potrzęsały fale nieopisanych tajfunów i rozterek, nagich, obdartych ze wszystkiego wątpliwości o sens życia dalej razem. Zło stało się dobrem a dobro złem. Domem zawładnęła mafia. Mimo, że stał na pustkowiu, ciągle był pełen jakichś typów. Siadałeś więc sam w bezsenne noce, kiedy myśli wirowały jak młyn, na swoim tarasie, którego nie pozwoliłeś przebudować, ani przerobić na trzeci basen i kiwałeś się w fotelu.

Wymyślałeś, paląc fajkę napełnioną niezmiennie tytoniem Bell Durham, z kapeluszem nasuniętym na oczy, że jeśli kiedyś nadarzy się okazja i spotkasz pijaną Mary na pustym moście, to... zepchniesz ją z niego i przejdiesz na drugi brzeg, odnowiony.

Już od dawna interesowało cię wszystko, co można kupić za pieniądze.

Wiedziałeś, że dziś nikogo nie spotkasz i nikt nie zobaczy twej mieszanej, afrykańskiej urody po ojcu, tak łatwo rozpoznawalnej. Jedyne sąsiad na tym pustkowiu przewodnik „stary traper”, jak go nazywałeś, Andrzej Zbo, prowadził dziś swoją grupę na słowackie taty.

Zatrzasnąłeś drzwi swojego czarnego Rolls Royca i siedłeś wolno z dreszczykiem emocji na wiszący most.

Zmierzchało gdy powracałeś ze spaceru po moście spokojny i opanowany. W samochodzie spojrzawszy w lusterko. Na twarzy widniały miłosne ślady pięciolinii po paznokciach Mary. Zdezynfekowałeś wodą toaletową Masculin, którą pachniesz, tą samą od lat, i wtedy dopiero zorientowałeś się, że siedzisz na swoim ukochanym kapeluszu Johna Battersona Stetson. Wyjąłeś go, otrzepałeś i włożyłeś na głowę z czułością, nucąc pod nosem piosenkę, której nauczył cię twój dziad, kiedy był w paryskim „Moulin Rouge” – też karczmie – jak mawiał z uśmiechem.

Uruchomiłeś silnik Rolls Royca i ruszałeś wolno, odprężony, nie wiedząc, że za tylną kanapą, skulony, ukrywa się twój najserdeczniejszy przyjaciel Hajci.

O karczmach i ich właścicielach opowiedział Pan Antoni Faron z Czerńca.

WSPOMNIENIA GASI ŚWIT

Odliczając z pamięci cztery horyzonty pierzei rynku,  
potykam się o kocie łby i wpadam na dom "Na Dołkach".  
Ulicą Sobieskiego, pobieloną dzieciństwa wspomnieniem,  
przycupniętą jak lud w gęstym rzędzie, kłęczącym do komunii,  
patrzę na Kaplicę św. Rocha i stodoły z młodzieńczych  
wagarów z czerwonej szkoły.  
Biegnę do zapachu stacji po gwizd prawdziwej lokomotywy.

Tu zawsze wiało wielkim światem, gdy fiakry z kuźni  
„Na Poczekaju” odwoziły walizy egzotycznych letników.  
Oddala się gwar. Jeszcze znak krzyża przy „Chrystusie u słupa”  
przed kościołem Klarysek i zadzieram głowę.  
Wieżyczka na sygnaturkę, wieża zegarowa, furta klasztorna.

Wiele wspomnienie mrozem ciemnego świtu. Owinięty chustą  
z płonąca latarenką idę na Roraty do św. Elżbiety,  
owiane magicznym wstępem do Wigilii. Ojciec zostawia mnie  
z mamą i idzie do „Głosu Podhala”. Jeszcze brukowaną  
ulicą Krętą w dół, na lewo wypas i... wspomnienia gasi świt.  
–A mógłbym tak krainą marzeń frunąć po kres dni.

Na próżno szukam mego miasta pośród mazurskich jezior.  
Nocną tęsknotą, owianą rzeńskim górskim powietrzem,  
z każdym biciem serca uciekają myśli tylko jedną ścieżką  
–do młodzieńczych lat ze Starego Sącza



## PRAWDZIWE LUB NIE

Przycupnięte jak baby  
z rozrzuconymi kieckami,  
domy z rynku Starego Sącza  
czarują wiekiem podcieni.  
W skowycie bram  
wyjeżdżają konie z sieni  
o sklepieniach opasłej dyni.

Piruetami suną gospodynie  
z pełnymi koszami jaj,  
po wyslizganych mgłą poranka  
kocich łbach rynku.  
Już nie raz czapa z jajecznicy  
przyozdobiła kamienie bruku.

Gdy na Anioł Pański  
dzwon ozdobny  
z wieży kościelnej dzwoni,  
targ już zapakował połowę towarów.

Kupisz tu kierzpce i skóry,  
pękaty garnek i konika drewnianego.  
wory ogórow, jabłek i śliw,  
co śliwownicą okraszają lica.

Zawsze świeże sery,  
klagan, bundz i oscypek  
–prawdziwy, lub nie?

A gdy urodzaj, kosze grzybów  
–prawdziwków, lub nie?

Tu, na rynku maślanym,  
wymienisz wiadomości  
z pierwszej ręki  
–prawdziwe, lub nie?  
ale zawsze świeże.

Tylko kamienie, wiekowi  
–prawdziwi kronikarze  
750-letniej historii miasta,  
ukryci w murach i bruku  
odbijają echem ślad ludzkich kroków.

## PRĘGIERZ

–A jakże mnie dowloką, te zmęczone nogi na pole,  
to spod pręgierza słyhać przez mgłę ino krzyk i lament.  
Roczki były, sąd wymierza Jadwidze karę  
„za słowa niegodziwe i członki bezwstydne  
co na Wojciecha wypinała dając ludziom zgorszenie”,  
już ósmą plagę dzielnie znosi.  
Zeszłe dwie niedziele, krzyżem leżeli za cielesność  
–jakie zgorszenie,  
–jakie zgorszenie– a...tfu!

–A na rynku koło studni dyby stoją, znowu komuś w gębę plują.  
Stanisław całą mszę w kościele parafialnym  
lulkę z cebuchem nad głową trzymał, za zbytnie kurzenie.  
A węgiel z cebucha to w październiku rzucił!  
Za zniewolenie, grosze i wosk zadośćuczynią  
I majestat Boski ubłagają  
–co to się porobiło?  
–co to się porobiło?  
–Jak ja w tym błocie koszyk kartofli uzbieram?  
–Jeden gardło dał za zabójstwo matki żony,  
a najstarszy Kazimierz to w kunie siedzi, bo na plagi za stary.  
Hałasy i obelgi nocą po pijanemu po końskiej targowicy  
spocząć nie dają! Niech straż propinacyjna co do jednej  
opasłe piwnice w rynku przeszuka, bo to z nich ta rozpusta.  
–O moje stare nogi, a gdzież te czarne zagony?

Dziś na wyjeździe ze Starego Sącza po pręgierzu kapliczka stoi,  
cztery kondygnacje próśb o przebaczenie mieści.  
Św. Jan Nepomucen wszystkich wysłuchuje, lecz za pijaństwo,  
kradzież i cudzołóstwo nikt o wybaczenie nie prosi.  
Za małą szkodliwość czynu  
–w grzechu się nie mieści.

\*

Za wiersze te Maria Golanka otrzymała III nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim WITRAŻ POETYCKI.

Konkurs ogłoszono z okazji jubileuszu 750-lecia lokacji Starego Sącza, pod patronatem Burmistrza Miasta i Gminy Stary Sącz Mariana Cyconia. Na konkurs napłynęły 103 zestawy wierszy z całej Polski i zagranicy.

Nagrodzone prace ukazały się w tomiku pt. STARY SĄCZ – witraż poetycki.

Uroczyste rozdanie nagród odbyło się w Starym Sączu w dniu 9 grudnia 2006 roku.



*Maria Golanka czyta swoje wiersze. 9.12.2006.*



1.

Studium lęku. Podły czar martwych jezior i twe oczy pełne gniewu gonią mnie przez sen. Czasem przez niewiedzę zaczynamy być dla siebie naprawdę mili, cudowna harmonia gra na naszych urywanych oddechach pieśń naturalną. A potem podnosimy się, otrzepujemy pył i idziemy obok siebie, chwytając codzienny czar, którego nie ma. Bywa pięknie. Przecież chodzimy razem do szkoły, prawda? Gramy na lirach, choć może to gitary elektryczne tak przez nas uwielbiane?

Przyszedł do mnie raz dzień, którego się nie spodziewałam. Był zarazony śmiercią, odmrożony i niebanalnie pokąsany przez owady. Zaprosił mnie do tanga, wyciskającego łzy. Chciałam po tym tylko usiąść wygodnie, obejrzeć dobry film. Ale zostałam uwieczniona w otchłani przeznaczenia, która oddalała ode mnie owe poranki słoneczne i miłość trwałą, niezmienną i skuteczną.

Przez następne tygodnie wszystko pozostało niezmiennie. Niezrozumiałe.  
A dziś pomnóż to razy trzy.

\* \* \*

2.

Patrzę na smutną, pełną miłości twarz. Zupełne taką jak twoja...

Jeśli uciekam, to wszystko dlatego, że nie podoba mi się sposób w jaki patrzą, rozmawiają ze sobą i dotykają się ludzie.

Nie pamiętam, ile wtedy miałam lat – pięć, może sześć. Wszystko było wtedy takie oczywiste i normalne, a inne dzieci pojmoowało się w kategorii czy łatwo, czy trudno się je rozumie. Była więc jąkająca się Ola, którą trzeba kilka razy zmuszać, żeby powtórzyła, co chce powiedzieć, chodzący gdzieś tam w dziwny sposób Kacper, moja najlepsza koleżanka, pakująca się zawsze w tarapaty; trzeba było jej nieraz pomagać, by nie dostała „kopniaka” od chłopaków. I oczywiście kochana pani przedszkolanka – wszystkie dzieci ją uwielbiały.

Ola już prawie się nie jąka, chyba, że bardzo się denerwuje. Jest towarzyską, miłą osobą, chociaż niezbyt lubi pomagać w domu. Kacper nadal ma problemy z własnym ciałem, a ja się bardzo dziwię, znając realia współczesnego, zdrowego świata, że chłopak ma tylu przyjaciół i nikt już od paru lat mu nie dokucza. Moja najlepsza przyjaciółka w szkole była fałszywa i nieraz powiedziała mi w twarz niecenzuralne słowa. Teraz wyjechała. Gdy dłużej jej nie widzę, śni mi się. Nie jesteśmy już najlepszymi przyjaciółkami, ale dobrze się dogadujemy. Pani przedszkolanka jest nadal śliczna, uśmiechnięta, chociaż nie wiem, czy lubi mnie tak, jak wtedy, gdy byłam mała – chyba nie.

Wracam, po pewnym czasie zawsze wracam, bo widziałam dzieci w szkole specjalnej, chorego w szpitalu. Dotknęłam dziecka, które nigdy nie pozna drogi do własnego domu i nie wypowie nigdy mojego imienia. Wydaje mi się, że nie można ich wszystkich tak po prostu przestać kochać. To niewykonalne.



18 stycznia 2007 roku zmarł w Szpitalu im. Jędrzeja Śniadeckiego w Nowym Sączu Mieczysław Smoleń – badacz dziejów Nowego Sącza i Sądecczyzny, dokumentalista, sekretarz Komitetu Redakcyjnego „Rocznika Sądeckiego”.

Mieczysław Smoleń urodził się 17 stycznia 1932 roku w Lipnicy Wielkiej. Był abiturientem I Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Długosza w Nowym Sączu i absolwentem Uniwersytetu Warszawskiego (socjologia).

W życiu Mieczysława Smolenia ważne miejsce zajmowała praca zawodowa i społeczna. Początkowo pracował jako nauczyciel w Korzennej i Lipnicy

Wielkiej, następnie przez wiele lat zajmował się sprawami kultury sądeckiej, m.in. jako kierownik i dyrektor Wydziału Kultury Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Nowym Sączu, Miejskiego Ośrodka Kultury i Miejskiej Biblioteki Publicznej.

Z „Rocznikiem Sądeckim” zetknął się już w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, ale ściśle związał się z nim w 1992 roku, kiedy to w okresie jubileuszu 700-lecia Nowego Sącza, objął pieczę nad tęką redakcyjną pisma. Bezpośrednie zaangażowanie się Mieczysława Smolenia w prace redakcyjne i wydawnicze „Rocznika” otworzyło nowy okres w historii wydawnictwa. Koordynując działania Komitetu Redakcyjnego pod przewodnictwem prof. Feliksa Kiryka i sprawując nadzór nad kolejnymi edycjami, przyczynił się w istotny sposób do podniesienia poziomu merytorycznego „Rocznika”, a zabiegając niestrudzenie o mecenat Miasta Nowego Sącza nad pismem, zasłużył sobie na miano czołowego kontynuatora dzieła zapoczątkowanego przez dr. Tadeusza Mączyńskiego, które od roku 1992, nie zaznając przerw, wydawane jest corocznie.

Odejście Mieczysława Smolenia osierociło „Rocznik Sądecki”. Wraz z Jego śmiercią znikła niemała część ludzkiej wiedzy, kompetencji, odpowiedzialności, życzliwości i szlachetności, którą obdarzał wszystkich, którzy się z Nim zetknęli. Rozstając się z Mieczysławem Smoleniem utraciliśmy tę część, co odczuwamy boleśnie, tym bardziej, że nie jesteśmy w stanie jej niczym zastąpić.

Śmierć Mieczysława Smolenia uświadomiła raz jeszcze, jak nieprawdziwe jest stwierdzenie, iż nie ma ludzi niezastąpionych. Nie trzeba tego uzasadniać, a już na pewno nie należy czynić tego w obliczu tej straty, jaką ponieśliśmy. Warto natomiast, a nawet trzeba, przytoczyć sens słów wypowiedzianych nad trumną ś.p. Zmarłego, iż

odejście to pozostawiło niczym nie dający się zastąpić wyłom w szeregach redakcji „Rocznika Sądeckiego”, a dodać należy, że i szerzej w gronie regionalnego środowiska badawczego i całej kultury sądeckiej, której elementem – jakże ważnym – pozostaje wskrzeszony na początku lat dziewięćdziesiątych „Rocznik Sądecki” – pomnik talentu i pracowitości Mieczysława Smolenia – najlepszego Druha i Przyjaciela.

Redakcja Rocznika Sądeckiego

...

Redakcja Almanachu z głębokim żalem przyjęła wiadomość o śmierci Pana Mieczysława Smolenia, zawsze życzliwego, miłego i serdecznego w kontaktach, które trwały stosunkowo krótko, ale pozostały w naszej pamięci na zawsze.

## **Pro memoria: Zofia Młynarczyk (1944–2007)**

---

„*Ciągle się mówi, że życie jest krótkie, człowiek wszakże, jeżeli je dobrze wykorzysta, może zdziałać wiele*”.

Te słowa Goethego warto odnieść do pani Zofii Młynarczyk, osoby pełnej optymizmu, pogody ducha, osoby, która umiała cieszyć się z rzeczy małych, bo radość i nadzieja towarzyszyła jej postawie wobec życia.

Pani Dyrektor, rzemieślnicza nauczycielskiego uczyła się w słynnym Liceum Pedagogicznym w Starym Sączu, swe zainteresowania językowe rozwijała studiując na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Pracę w szkolnictwie rozpoczęła w 1963 roku jako nauczycielka Szkoły Podstawowej w Woli Kosnowej, a od 1967 roku w Łącku, w której to szkole, funkcję dyrektora pełniła od 1984 roku. Organizowała również pierwsze klasy gimnazjalne, a w 2001 r. objęła kierownictwo Zespołu Szkolno-Gimnazjalnego.

Przez długi okres czasu związana była także z Zasadniczą Szkołą Rolniczą, najpierw jako nauczycielka, następnie dyrektor (od 1975 r. do 1992 r.) oraz założycielką i dyrektor Technikum dla Pracujących.



Pani dyrektor Młynarczykowa nigdy nie żałowała ani czasu, ani trudu, aby poprawić warunki lokalowe powierzonej jej kierownictwu Szkoły. Sama będąc społecznikiem potrafiła zjednoczyć innych pasjonatów wokół ważnych zadań związanych z dobudową skrzydła, modernizacją stołówki, sal lekcyjnych i budową sali gimnastycznej (zdjęcie).

Służyła szkole, ale swej pracy nie traktowała jako obowiązku czy poświęcenia, lecz jako kolejne wyzwania, z którymi należało się zmierzyć. Inspirowała szereg działań skierowanych na rozwój ucznia, jego wszechstronne zainteresowania i potrzeby, szukała nowych, dobrych rozwiązań organizacyjnych, metodycznych i programowych.

Była rzecznikiem tych, którzy wypracowywali nowe, ciekawe sposoby czynienia uczniów aktywnymi, twórczymi, otwartymi, ale też krytycznymi wobec zmian cywilizacyjnych.

W szczególny sposób była jej bliska tradycja Ziemi Łąckiej, w której wyrosła. Stanowiła dla niej wartość, którą nie tylko starała się przekazać, ale też rozwijać



*Laureaci konkursów otrzymują dyplomy z rąk Pani Dyrektor*

zaniepokoiła, kiedy zobaczyła skalę przedsięwzięcia. Sprawność organizacyjna i tym razem jej nie zawiodła.

Jest wiele przyczyn, dla których niełatwo być nauczycielem, ale jeżeli robi się to z pasją, tak, jak to czyniła Pani Zofia Młynarczyk, praca z uczniami daje wiele satysfakcji. Pani Dyrektor Młynarczykowa właśnie jako nauczycielka pozostawiła trwałe ślad swej silnej osobowości. Uważnie słuchała innych, obdarowywała przyjaznym uśmiechem, serdecznym słowem, wsparciem i pomocą zawsze wtedy,

kiedy należało to uczynić. Nie bała się podejmować trudnych decyzji i ponosić za nie odpowiedzialności. Swoim życiem uczyła godności, szacunku dla drugiego człowieka. Pozostanie w naszej pamięci jako osoba, która więcej dawała, ofiarowała innym, niż sama chciała otrzymać.

i wzbogacać. Zawsze miała czas, aby przyjść na próbę zespołu, wyjechać z nim na występy, wycieczki, pójść na spotkanie przy ognisku, zadbać o fundusze na zakup i renowację strojów, zapewnić kadre instruktorską.

Nikt nie odmówił Pani Dyrektor, kiedy prosiła o pomoc i wsparcie przy organizacji jubileuszu „Małego Łącka”. Cieszyła się i promieniała, ale też trochę



*Ostatnie przygotowania do występu*



## *Nazwy osiedli, siedlisk i domostw w Maszkowicach*

---

- Maszkowice wieś** – domostwa ciągnące się wzdłuż rzeki Leszcz, od gościńca do przysiółku Łąka.
- Łąka** – domostwa i pola ciągnące się od wsi do domostwa Szajdlów.
- Góra Zyndrama** – potocznie zwana Grodziskiem, położona jest na końcu wsi od strony północno-zachodniej. Obecnie własność rodziny Wnęków.
- Ostrowie** – pola i domostwa położone wzdłuż szosy w kierunku Łąka, zamieszkiwane przez rodziny Faronów, Majkrzaków, Gromalów i Lizaków.
- Łęgi** – przysiółek wsi Maszkowice, ciągnący się wzdłuż szosy w kierunku Nowego Sącza. Łęgi graniczą z Jazowskim Osiedlem, Popularną Opijówką (dawne osiedle pracowników Fabryki Mebli Giętych w Jazowsku).
- Zawodzie** – tereny położone za rzeką Dunajec.
- Pod Górą** – pola i osiedla położone u stóp góry Kamienica. Zamieszkują tu rodziny Majkrzaków, Cebulów i Piechniczków.
- Brzeg** – teren położony nad wsią w kierunku Białego Potoku, zamieszkują tu rodziny Jaworów i Groniów.
- Biały Potok** – tereny ciągnące się wzdłuż potoku „Biały Potok”.
- Wiela** – przysiółek wsi Maszkowice, można dojechać do Wieli drogą przez Biały Potok lub wsi Szczereż. Będąc na miejscu można podziwiać przepiękną panoramę okolicy.
- Śliwowiec** – pola ciągnące się od Grodziska w kierunku Krakowskiej i Łazów, należące do rodziny Zborowskich, dawniej Pasiudów.
- „Do Sadu”** – tak nazwano gospodarstwo rodziny Zboźniów, położone przy gościńcu, koło mostu na rzece Leszcz. Aktualnie mieszka tu rodzina Kudrów.
- Koleźna** – lasy państwowe, ciągnące się od Wieli w kierunku Łęgów i Potoków. Dawniej własność Adera (właściciela Fabryki Mebli Giętych w Jazowsku).

- Wesoła** – osiedle położone w przysiółku Łęgi, zamieszkane przez rodzinę Rusnaków.
- Dolki** – pola i sady ciągnące się od gościńca pod Górę, należącą do rodziny Kuźłów.
- Kurzejówka** – gospodarstwo za Dunajcem, usytuowane naprzeciwko wsi Maszkowice, zamieszkałe przez rodzinę Gromalów.
- Wapielna** – gospodarstwo sąsiadujące z Kurzejówką, zamieszkałe przez Janinę Twardowską z rodziną.
- Pod Grodziskiem** – pola i domy leżące u stóp Góry Zyndrama od strony wsi.
- Średnia Droga** – droga równoległa do gościńca, biegnąca przez środek pól od Łącka do Maszkowic (do szkarpy).
- Ogrody** – pola i sady leżące za gospodarstwami mieszkańców wsi. Granicę ogrodów od strony Łącka wyznacza ciek wodny tzw. Szkarpa, zaś od strony Łęgów, linia na wysokości Krzyża, posadowionego w rogu działki Kudrów (dawniej granicę stanowił mur z kamienia, którego ostały się resztki).
- Przedewsią** – pola znajdujące się za gościńcem, naprzeciwko wsi, biegnące w stronę Dunajca.
- Równia** – pola położone pomiędzy Przedewsiami a przysiółkiem Łęgi.



# Stare groby na cmentarzu parafialnym w Łącku



fol. Mateusz Długosz



# Stare groby na cmentarzu parafialnym w Jazowsku



fot. Mateusz Długosz



## Zatrzymane w kadrze



Banderia ze Szczereża na 500 lecie bitwy pod Grunwaldem 15 lipca 1910 r. (fotografia ze zbiorów TMZŁ)

Od lewej Zofia Więclawek, Rozalia Kyrzcz-Barszcz, w oknie w chustce na głowie Kyrzczowa, pierwsza z prawej Józefa Kyrzcz i druga z prawej Elżbieta Kyrzcz-Jurkowska, lata 30-te XX w. (fotografia ze zbiorów TMZŁ)



Mieszkańcy Łącka (fotografia wykonana na początku XX wieku przez Stanisława Góreckiego, ze zbiorów TMZŁ)



Kapliczka w Kiczni, fotografia z lat czterdziestych XX w (fotografia ze zbiorów M. Długosza)



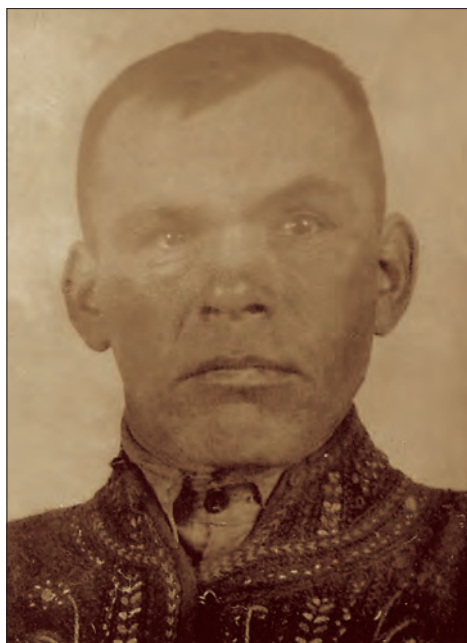
*Rzeźba górala w amfiteatrze przyniesiona przez powódź w 1973 roku ze Sromowiec (fotografia ze zbiorów M. Długosza)*



*Rzeźba góralki w amfiteatrze, fotografia z 1992 roku (fotografia ze zbiorów M. Długosza)*



*Maria Chwalibóg w wieku 17 lat (1907-1992) (fotografia ze zbiorów TMŻŁ)*



*Jakub Cebula „Przewoźnik” (fotografia ze zbiorów TMŻŁ)*



Zniszczenia po wysadzeniu mostu  
przez uciekających Niemców  
w styczniu 1945 r.  
(fotografia ze zbiorów TMZŁ)



Montaż dzwonu w łąckim kościele,  
lata 20-te XX w (fotografia ze  
zbiorów TMZŁ)



Antoni Wnęk (1919-2003) z Zagorzyna ps.  
„Rogacz”, żołnierz BCH (fot. ze zbiorów TMZŁ)

Od lewej stoją: p. Sienkiewicz,  
p. Śliwiński, syn p. Myjkowskich,  
Siedzą od lewej: Halina  
Sienkiewiczowa, p. Śliwińska,  
Antoni i Jadwiga Myjkowscy  
(fotografia z lat 30-tych XX wieku,  
ze zbiorów TMZŁ)



*Mieszkanka Łącka (fotografia wykonana na początku XX wieku przez Stanisława Góreckiego, ze zbiorów TMZŁ)*



*Z lewej Maria Magdziarczyk z domu Hilgier, lata 30-te XX w. (fotografia ze zbiorów Lucyny Adamczyk)*

*Maria Wnęk z domu Plechta (fotografia wykonana na początku XX wieku przez Stanisława Góreckiego, ze zbiorów TMZŁ)*



*Mieszkańcy z Czarnego Potoku na wycieczce do Wieliczki 18 sierpnia 1930 r. (fotografia ze zbiorów TMZŁ)*



*Piękno naszej ziemi – Gorce ze Szczereża,  
fot. Andrzej Urbaniec*

---





Portal Regionalny



Zofia i Aleksander  
Grela

Łącko ul. Szczawnicka 5.

## Agro Centrum

Krystyna Gurgul

33-390 Łącko, Czerniec 38

tel. (0\*18) 444 64 46, tel. kom. 0 502 386 539

**Oferuje wszystkim na działkę,  
do sadu i do ogrodu:**

- środki ochrony roślin
- nawozy, torfy, ziemię kwiatową
- mikrociągniki ogrodnicze, kosiarki spalinowe i elektryczne, pily spalinowe
- nasiona warzyw i kwiatów, cebulki kwiatowe
- krzewy ozdobne, byliny, drzewka owocowe
- narzędzia ogrodnicze, opryskiwacze, folie, tunele foliowe
- wyroby z tworzyw sztucznych
- pełny zakres materiałów elektro - instalacyjnych



***Dofinansowanie rolnictwa Gminy Łącko  
w latach 2004-2006 z programów Unii Europejskiej.***

---

1. Płatności bezpośrednie + ONW – 1300 gospodarstw x 3 lata, średnie gospodarstwo – 3 hektary x 650 złotych za hektar.  
Płatność wynosi 7.605.000 złotych.
2. Wsparcie gospodarstw niskotowarowych – 250 gospodarstw x 5 lat x 5.000złoty na każde gospodarstwo na jeden rok kalendarzowy.  
Kwota wynosi 6.250.000 złotych.
3. Program Sapard około 25 gospodarstw x 50.000 złotych – wsparcie wynosi 1.250.000 złotych.
4. Inwestycje w gospodarstwach rolnych – około 30 gospodarstw x 50.000 wsparcie wynosi 1.500.000.
5. Programy rolno-środowiskowe – 25 gospodarstw x 4.000 złotych na gospodarstwo na 1 rok x 5 lat wsparcie wynosi 500.000 złotych.
6. Renty strukturalne. Około 20 gospodarstw, najniższa kwota renty strukturalnej to 1240 złotych miesięcznie, renty wypłacane będą przez 10 lat.

Roman Potoniec

***Fundusze z Unii Europejskiej na inwestycje  
w Gminie Łącko w latach 2004 – 2006***

---

I. Fundusze „SAPARD” w 2004 roku:

1. Na budowę kanalizacji sanitarnej w Jazowsku – 1180.584,00
2. Na budowę kanalizacji w Łącku, Kiczonkach i Zagorzynie – 628.998.00

II. Fundusze z „Banku Światowego” w 2004 roku:

1. Przebudowa drogi gminnej Maszkowice – Zawodzie – 60.434.00
2. Remont dachu, elewacji, wymiana stolarki okiennej w Zespole Szkoklno-Gimnazjalnym oraz sali gimnastycznej w Łącku – 119.668.00
3. Wymiana stolarki okiennej, remont elewacji, roboty wykończeniowe sal lekcyjnych w starej części budynku szkoły podstawowej w Obidzy – 110.254.00

III. Fundusze z „ZPORR” w latach 2005–2006

1. Budowa Gimnazjum w Jazowsku, II etap – 723.730.11

Jolanta Łagos





## Wybory samorządowe w Gminie Łącko w 2006 roku

---

**Wójt Gminy Łącko** – jedynym kandydatem był Franciszek Młynarczyk, zgłoszony przez KWW Łącki Ruch Samorządowy.

Uprawnionych do głosowania – 11018

Liczba głosów ważnych – 4882

Liczba głosów za wyborem kandydata – 3781

Liczba głosów przeciwko – 1101

**Franciszek Młynarczyk** został wybrany na wójta.

### **RADNI GMINY ŁĄCKO**

Okręg wyborczy nr 1 – Brzyna – 1 mandat

**Kozik Jan** – KWW Łącki Ruch Samorządowy – został radnym bez głosowania

Okręg wyborczy nr 2 – Czarny Potok, Szczereż – 1 mandat

**Bober Stanisław** – KWW Łącki Ruch Samorządowy (237 głosów)

Okręg wyborczy nr 3 – Czerniec, Zarzecze – 1 mandat

**Kłag Janusz Rafał** – KW Prawo i Sprawiedliwość (209 głosów)

Okręg wyborczy nr 4 – Jazowsko – 1 mandat

**Klimek Jan** – KWW Niezależni Gminy Łącko (182 głosy)

Okręg wyborczy nr 5 – Kadcza – 1 mandat

**Chronowski Zbigniew** – KWW Łącki Ruch Samorządowy (233 głosy)

Okręg wyborczy nr 6 – Kicznia – 1 mandat

**Stec Jan** – KWW Łącki Ruch Samorządowy (179 głosów)

Okręg wyborczy nr 7 – Łącko – 3 mandaty

**Wąchała Bernadetta** – KWW Samorząd Łącki (317 głosów)

**Grabiec Stefan** – KWW Łącki Ruch Samorządowy (285 głosów)

**Rusnarczyk Kazimierz** – KWW Łącki Ruch Samorządowy (353 głosy)

Okręg wyborczy nr 8 – Maszkowice – 1 mandat  
**Cebula Jan** – KWW Łącki Ruch Samorządowy (209 głosów)

Okręg wyborczy nr 9 – Obidza, Łazy Brzyńskie – 2 mandaty  
**Sopata Józef** – KWW Samorząd Łącki (261 głosów)  
**Jasiński Stanisław** – KWW Łącki Ruch Samorządowy (320 głosów)

Okręg wyborczy nr 10 – Wola Kosnowa – 1 mandat  
**Duda Stanisław** – KWW Łącki Ruch Samorządowy (246 głosów)

Okręg wyborczy nr 11 – Zabrzeż – 1 mandat  
**Wojtas Jerzy** – KWW Zabrzeż (291 głosów)

Okręg wyborczy nr 12 – Zagorzyn – 1 mandat  
**Czepielik Henryk** – KWW Łącki Ruch Samorządowy (215 głosów)

**Jedynym radnym z naszego terenu do Powiatu Nowosądeckiego został Jan Dziejnina (1174 głosy)**

Opracowano na podstawie informacji przekazanych przez sekretarza Gminy Łącko p. Zofię Zbozień.  
Redakcja „Almanachu Łąckiego”.



**Rada Gminy Łącko**  
**po wyborach samorządowych 12.11.2006 roku**

---

Przewodniczący Rady Gminy

**Henryk CZEPIELIK**

Z-ca Przewodniczącego Rady Gminy:

**Bernadetta Wąchała**

**Zbigniew Chronowski**

Skład osobowy

**Komisji Rozwoju Gospodarczego i Budżetu**

1. **Rusnarczyk Kazimierz – Przewodniczący**
2. Jasiński Stanisław
3. Bober Stanisław
4. Klimek Jan
5. Duda Stanisław
6. Kozik Jan
7. Chronowski Zbigniew
8. Wojtas Jerzy

Skład osobowy

**Komisji Rewizyjnej**

1. **Stanisław Jasiński – Przewodniczący**
2. Kazimierz Rusnarczyk
3. Jan Cebula
4. Jan Kozik
5. Stanisław Bober

Skład osobowy

**Komisji Porządku Publicznego i Ochrony Przeciwpożarowej**

1. **Stefan Grabiec – Przewodniczący**
2. Duda Stanisław
3. Klimek Jan
4. Chronowski Zbigniew
5. Klag Janusz

Skład osobowy  
**Komisji Zdrowia i Opieki Społecznej**

- 1. Cebula Jan – Przewodniczący**
2. Chronowski Zbigniew
3. Grabiec Stefan
4. Wojtas Jerzy
5. Wnęk Stanisław

Skład osobowy  
**Komisji Oświaty, Kultury i Sportu**

- 1. Jerzy Wojtas – przewodniczący**
2. Wąchała Bernadetta
3. Kłag Janusz
4. Czepielik Henryk
5. Wnęk Stanisław
6. Sopata Józef

Skład osobowy  
**Komisji Rolnictwa**

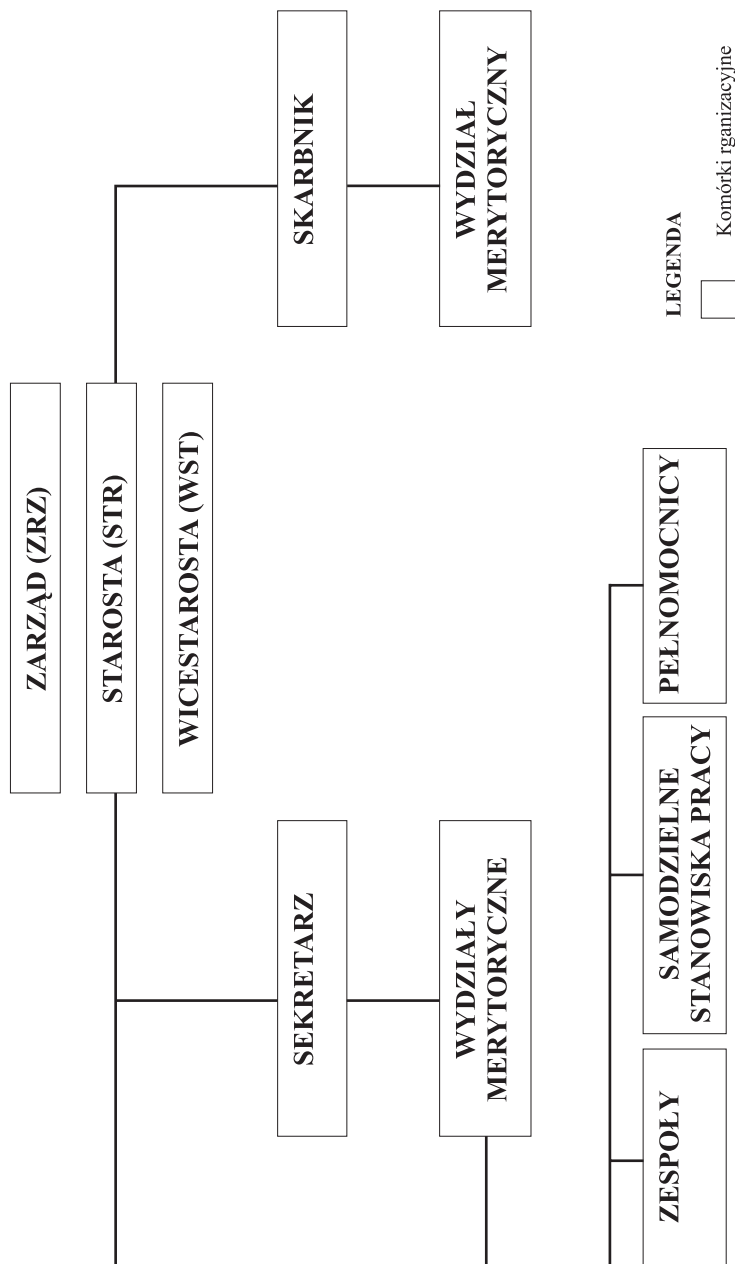
- 1. Janusz Kłag – Przewodniczący**
2. Duda Stanisław
3. Cebula Jan
4. Bober Stanisław
5. Kozik Jan

(Anna Kurzeja)



# Schemat organizacyjny Zarządu Starostwa Powiatowego

## SCHEMAT ORGANIZACYJNY ZARZĄDU STAROSTWA POWIATOWEGO (STRUKTURA ZALEŻNOŚCI SŁUŻBOWYCH)



Informacja opracowana na podstawie strony internetowej Starostwa Powiatowego w Nowym Sączu

- 05.01.2007 – Przegląd Grup Kolędniczych – kwalifikacje do Karnawału Góralskiego w Bukowinie Tatrzańskiej.
- 14.01.2007 – XV Finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.
- 21.01.2007 – Noworoczny Koncert Kolęd – polskie kolędy i pastorałki z regionu Łącka w wykonaniu min. Zespołu Regionalnego „Górale Łąccy”.
- 21.01.2007 – Spotkanie opłatkowe Związku Podhalan oddział Łącko.
- 26.01.2007 – zmarła Zofia Młynarczyk, pedagog, wychowawca młodzieży, społecznik, wieloletni dyrektor Szkoły podstawowej w Łącku.
- 28.01.2007 – pogrzeb śp. Zofii Młynarczyk – przybyli min. uczniowie, rodzice, nauczyciele, władze samorządowe różnego szczebla, przedstawiciele stowarzyszeń, mieszkańcy gminy.
- 31.01.2007 – inauguracyjna sesja Rady Gminy Łącko, pierwsza po wyborach samorządowych z 12.11.2006 roku, od czasu powołania nowej rady i jej komisji w dniu 27.11.2006 roku.
- 28.02.2007 – VII konkurs „Łącko – moja mała ojczyzna”, ta edycja odbyła się w nowo oddanym budynku Gimnazjum w Jazowsku.
- 16.03.2007 – Otwarcie wystawy „Gmina Łącko” w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Krakowie.
- 19.03.2007 – rozpoczęcie akcji charytatywnej „Podziel się z najbiedniejszymi” WIELKANOC 2007. Akcją tę TMZŁ prowadzi od 2000 roku, i rozdało przez ten czas, ponad 700 paczek najbiedniejszym rodzinom w gminie Łącko.
- 03.04.2007 – zakończenie akcji charytatywnej „Podziel się z najbiedniejszymi”, paczki otrzymało 47 najbiedniejszych rodzin. Żywność zbierana była w 14 sklepach na terenie gminy Łącko. Biuro Poselskie posła na Sejm RP, Andrzeja Czerwińskiego, wsparło również tę akcję, przekazując wiele artykułów spożywczych min. cukier, mąkę, tłuszcze, słodycze.
- 24.04. 2007 – III Gminny Konkurs Recytatorski w Zespole Szkolno –Przedszkolnym, w Czarnym Potoku
- 03.05.2007 – wydanie przez TMZŁ, reprintu książeczki „Z rodzinnych stron Mikołaja Zyndrama wodza z pod Grunwaldu” Brody 1910, w nakładzie 500 egzemplarzy. W ten sposób TMZŁ pragnie uczcić zbliżającą się 600 rocznicę Bitwy pod Grunwaldem.
- 12.05.2007 – Święto Kwitnącej Jabłoni, jubileusz 20-lecia Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej. Wydanie kolejnego, 6 numeru Almanachu.

### LISTY

Szanowna Redakcjo!

Serdecznie dziękuję za wydanie drukiem w Almanachu Łąckim biografii Mego Ojca Wincentego Myjaka.

W załączeniu przesyłam moje wspomnienia dotyczące projektowanej budowy zapory wodnej w Jazowsku, gdyż w styczniu bieżącego roku jest rocznica 50-lecia mego zaangażowania dot. budowy zapory wodnej w Jazowsku.

Moje wspomnienia na temat projektowanej budowy zapory wodnej w Jazowsku, przygotowałem z myślą, że zostanie wydane drukiem w Almanachu Łąckim, co jest uzależnione od akceptacji Redakcji Almanachu.

W związku z biografią A. Myjaka, która została wydrukowana w Almanachu nr 3, załączam zdjęcie A. Myjaka, oraz bliższe dane dotyczące jego wiecznego spoczynku podane w Klepsydrze.

Myślę, że dobrze by było biogram A. Myjaka uzupełnić zdjęciem i danymi podanymi w klepsydrze. Biorąc powyższe pod uwagę, proszę o wzięcie pod uwagę moje propozycje.

Będę zadowolony jeśli decyzja będzie pozytywna, jeśli będzie negatywna, przyjmę ją bez żalu z pokorą.

Kłaniam się z należytym szacunkiem – Władysław Myjak

Dnia 16.I.2007 r.



Antoni Myjak (1894-1977)



\*\*\*

Wielce Szanowna Pani Jadwiga Jastrzębska  
Sekretarz Almanachu Łąckiego.

Było mi bardzo miło poznać Panią przy kościele w Łącku, dnia 2.XII. ubiegłego roku za pośrednictwem Agaty Czyżewskiej z Zagorzyna.

Więc jako znajomy zwracam się z prośbą o anulowanie pierwszej kartki mego pisma w sprawie budowy zapory wodnej, które wpłynęło do redakcji Almanachu.

W miejsce anulowanej kartki tj. pierwszej strony pisma, proszę dołączyć pismo, które przesyłam w załączeniu. Załączam również 3-y zdjęcia Antoniego Wnęka z Zagorzyna z nadzieją, że może któreś zdjęcie zostanie umieszczone na łamach Almanachu Łąckiego.

Kłaniam się z należytym szacunkiem i życzę pomyślności. Władysław Myjak  
Kraków, 28.II.2007

\*\*\*

Słowo od redakcji.

Przychodzą w dalszym ciągu serdeczne listy i życzenia z okazji różnych świąt od Pana Stanisława Turka z Australii. Pan Stanisław został członkiem Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej i jest to najdalej zamieszkały na świecie nasz „miłośnik”.

## SPROSTOWANIA

W „Almanachu Łąckim” nr.5 na stronie 32, 21 linijka od góry jest „...Antonina Łagosz...”, winno być „...Antonina Łagos...”

W „Almanachu Łąckim” nr. 5 na stronie 66, 6 linijka od góry jest „...której słownictwo przyznawane jest...”

Winno być „...której słownictwo przyzywane jest...”

1. Od redakcji	str. 5
2. Jan Pieszczachowicz – Z Carnego Potoka w świat	str. 7
3. Bolesław Faron – Jak rodziła się przyjaźń? (O Marii Kownackiej wspomnienie)	str. 15
4. Krzysztof Chwalibóg – Historia rodziny Chalibogów cz.II	str. 23
5. Maria Kurzeja Świątek – Strój ludowy w okolicach Łącka i Jazowska od XVII – XX. Część II w. XX	str. 26
6. Jan Turek – Działalność Szkolnego Zespołu Pieśni i Tańca w Łącku w latach 1952 – 1954	str. 33
7. Barbara Wagner – Polski wymiar sprawiedliwości	str. 37
8. Stanisław Turek – TALOFA SAMOA!	str. 43
9. Eugeniusz Piksa – Z naszej najnowszej historii – pierwsze dni wojny (dokończenie)	str. 47
10. Jan Faron – Relacja z patrolu i walk w dniu 12 stycznia 1945 r. w Szczawie	str. 50
11. Władysław Myjak – Moje wspomnienia...	str. 56
12. Notka biograficzna: Józef Zygałdo – napisał Tadeusz Zygałdo	str. 60
13. Notka biograficzna: Augustyn Franczyk – oprac. Jadwiga Jastrzębska	str. 61
14. Rafał Gałysa – Zabytki Ziemi Łąckiej cz.II	str. 63
15. Joanna Bałczyrak – Łącko piórem Stanisława Wąchały malowane	str. 65
16. Maria Golanka – Łąckie karczmy	str. 67
17. Maria Golanka – Wiersze – Witraz poetycki	str. 72
18. Katarzyna Mrówka – Opowiadanie 1 i 2	str. 76
19. Pro memoria: Mieczysław Smoleń /1923 – 2007/	str. 77
20. Pro memoria: Zofia Młynarczyk /1944 – 2007/	str. 79
21. Zofia Wysopal – Nazwy osiedli, siedlisk i domostw w Maszkowicach	str. 80
22. Stare groby na cmentarzu w Łącku – fot. Mateusz Długosz	str. 83
23. Stare groby na cmentarzu w Jazowsku – fot. Mateusz Długosz	str. 84
24. Zatrzymane w Kadrze – stare fotografie	str. 85
25. Piękno naszej ziemi – Gorce ze Szczereża (fot. Andrzej Urbaniec)	str. 89
26. Reklamy	str. 90
27. Środki z Unii Europejskiej	str. 91
28. Wybory samorządowe w gminie Łącko w 2006 roku	str. 93
29. Rada Gminy Łącko po wyborach 2006 roku	str. 95
30. Schemat organizacyjny Zarządu Starostwa Powiatowego	str. 97
31. Kalendarium	str. 98
32. Listy, polemiki, sprostowania	str. 99
32. Spis treści	str. 101
33. Darczyńcy wspomagający wydawanie Almanachu	str. 102